

W NUMERZE: Cywilizacja śmietnika ■ Kujawskie poszukiwania ■ 30 lat granicy pokoju ■ Cały czas ■ Korespondencja z Londynu ■ Festiwal u progu dorosłości ■ Recenzje ■ Felietony

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 27 (1178) ROK XXIII

6 LIPCA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

O Balonowej pisałem bodajże dwukrotnie w czasach, kiedy była jeszcze zamożną, ukwieconą wioską z wyglądu i częścią administracyjną Łodzi z rozporządzeń! Nawet wtedy, gdy rosła dzisiejsza Retkinia i widać już było cały jej ogromny zakrój, Balonowa opierała się jakimś cudem zagładzie — ciągle jeszcze w gospodarskich obojętnościach pracowały kieraty, a krowy porykiwały o zmierzchu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

nieraz jeszcze zapieją koguty

Dziś Retkinia rozpanoszyła się tak bardzo, że poszukiwanie ostatnich śladów Balonowej w kamiennym, nieskończonym ciągu bloków wydawało mi się zwykłą stratą czasu. A przecież...

Tak jakoś na wdech, klucząc między gotowymi już i budującymi się dopiero domami, przeskakując wykopy, którymi pobiegł gaz i woda do nielicznych już, pozbawionych tego komfortu punktów dzielnicy — udało mi się odnaleźć resztki tej sympatycznej, dziwnie bliskiej sercu wioski.

W Balonowej od parunastu lat wiało szczerem niepokoju. Miasto parło powoli w tamtą stronę. Ludzie dumali: skoro włączyli nas do Łodzi, coś się za tym musi kryć. Jedni w związku z tym, hodując kwiaty i utrzymując żywy inwentarz, nie przejmowali się zbytnio stanem technicznym swoich mieszkań, obór i stodoł, ale równocześnie byli i tacy, którzy budowali się z rozmachem. W Balonowej jeszcze kilka lat temu, obok najskromniejszych chat pod słońcem, mogłeś także spotkać wille z garażami. Ich właściciele często pisywali petycje do władz i do końca ludzili się nadzieją.

Dalszy ciąg na str. 7



Foto: R. Łucyszyn

CZY PAŃSTWO LUBICIE

WOLNE SOBOTY?

Kiedys można było usłyszeć powiedzenie: — ja bardzo lubię sobotę, bo już jest posprzątane w domu, bo nazajutrz można dłużej pospać, bo to jest zapowiedź wolnego czasu. Czy dziś można tak samo powiedzieć o wolnej sobocie? Czy lubimy wolne soboty?

Wiele się pisze, dyskutuje i rozważa na temat czasu wolnego. Postęp techniczny gwarantuje nam — takie jest przynajmniej założenie — że będziemy dysponowali coraz większą ilością czasu wolnego. Już dziś w wielu krajach obowiązuje pięciodniowy tydzień pracy. Również i my — choć jeszcze w sposób ograniczony — zaczynamy dysponować coraz większą ilością dni wolnych od pracy. Ale problem czasu wolnego nie ogranicza się tylko do podjęcia samej decyzji, bo to jest w miarę łatwe. Muszą być jeszcze spełnione różnorodne warunki organizacyjne. Musi istnieć model spędzania tego czasu wolnego i to taki model, który będzie odpowiadał różnym grupom ludzi. Sprawa nie jest więc łatwa.

Zdania są podzielone. Na przykład robotnica z ZPDz. „MARKO” — Janina Moraczewska powiedziała: — ja bardzo lubię wolne soboty, a nauczycielka — Czesława Urban stwierdziła bezapelacyjnie, że — nauczyciele bardzo nie lubią wolnych sobót. Dlaczego? Co się kryje u podstaw takiego stosunku? Aby znaleźć odpowiedź na te pytania, aby dowiedzieć się, jak ludzie ten wolny czas spędzają, i jak chcieliby go spędzać, zaprosiliśmy do rozmowy kilka osób:

- **WOJCIECHA CHRZANOWSKIEGO** — kierowcę MPK,
- **JANINĘ MORACZEWSKĄ** — robotnicę z ZPDz. „MARKO”.
- **JADWIGĘ NOWAK** — sprzedawczynię w SDH „CENTRAL”.
- **CZESŁAWĘ URBAN** — zastępcę dyrektora Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1,
- **IRENĘ ŻYDEK** — dyrektorkę Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Górna.

Dalszy ciąg na str. 8

RYSZARD BINKOWSKI

MIOTŁA NA SZACHOWNICY

Co trzy lata przybywa około miliona Polaków, natomiast co roku, jak przewidują fachowcy, będzie ubywać 40—50 tys. hektarów ziemi. Jednocześnie zastanawiamy się, czy jesteśmy w stanie sami się wyżywić. I odpowiadamy sobie, że tak, bo po prostu musimy. Wskazuje się, iż samowystarczalność w zakresie żywienia można osiągnąć poprzez intensyfikację produkcji rolnej. Ale w sytuacji, gdy ziemi ubywa, sprawa wysokości plonów i rozwoju hodowli nabiera szczególnego znaczenia. Intensyfikacja ma pewne granice i nie wystarczy sama mechanizacja i coraz wyższe nawożenie. Trzeba szukać rezerw ziemi, aby zmniejszać ubytki gruntów przeznaczonych na cele pozarolnicze.

Już przed wojną dostrzegano poważne rozdrobnienie gospodarki chłopskiej, tę swoistą szachownicę, zwłaszcza na Podkarpaciu, gdzie jeszcze do dziś zauważa się sytuację paradoksalną: jeden rolnik posiada we wsi po pięćdziesiąt działek, a rekord pobliż rolnik z województwa nowosądeckiego, dysponujący 200 (!) małymi działkami. Zmora dla gospodarki chłopskiej stały się ki-

lometrowe drogi polne, biegnące wężym, wymyślone nie wiadomo przez kogo i nie znajdujące się w ewidencji; te wszystkie pola i półki, zwężone lub rozdrobnione na działki, ciągnące się kilometrami, szerokości 2—5 metrów, a każde z nich przedzielone miedzą. Aby unormować wadliwą konfigurację pól, utrudniającą pracę chłopom i gospodarstwu społecznemu, w latach sześćdziesiątych zdecydowano się na „puszczenie miotły na szachownicy”, jak nazywają geodeci scalenia i wymianę gruntów, określane ogólnie jako komasacja.

Ustawa z 24.I.1968 r. o scalaniu i wymianie gruntów zakładała łączenie w większe zespoły małych działek, pól, gospodarstw, ich właściwą lokalizację, co automatycznie wiązało się z planową zabudową wsi i porządkowaniem sieci dróg wewnętrznych. W latach 1968—77 dokonano w kraju scalań i wymian gruntów na obszarze 3.362 tys. ha. Ryzyko przekonano najbardziej przeciwnych tej ustawie (zwłaszcza rol-

ników starszej generacji), iż ekonomiczne wykorzystanie przestrzeni rolniczej jest tak samo ważne, jak traktory i nawozy sztuczne.

W Wojewódzkim Biurze Geodezji i Terenów Rolnych w Łodzi widziałem na mapie kompleks rolny „Bolimów” koło Łowicza. Za opracowania i przeprowadzenia tam planu scalań zespół łódzkich geodetów otrzymał pierwszą nagrodę krajową. Przykładowo: PGR przed scaleniem miał 204 działki po 0,44 ha, a po scaleniu 2 działki po 59 ha.

— W dolinie Rawki, gdzie leży Bolimów — mówi dyrektor ds. spraw technicznych Wojewódzkiego Biura Geodezji — były łącki, laski, kawałki pól uprawnych, działki siedliskowe. Każdy musiał otrzymać to, co mu się słusznie należało. Nie hektar za hektar, ale według wartości i klasy gleby. Trudna sprawa, ale udało się. Ponadto stworzyliśmy tam kompleks gruntów z PFR, przygotowaliśmy drugi kompleks na grunty przeznaczone do przejęcia przez państwo, a „przy okazji” powstała spółdzielnia produkcyjna.

— To był wasz największy sukces?

— Ale nie jedyny. W Poraju w woj. piotrkowskim połowa gruntów leżała odłogiem. Kiedy pola przecięła autostrada Warszawa — Katowice, widok był straszny, rażący. A w dodatku chłopie nie mieli przejazdu przez autostradę do swoich działek. Dzięki scaleniom ziemia jest uprawiana, a dojazd na pole łatwy i prosty...

W woj. miejskim łódzkim okazały się areal gruntów ornych wymaga regulacji stosunków wodnych poprzez drenowanie. Kompleksy ziem żłtych cierpią na okresowy lub stały niedobór wody. Badania Stacji Chemiczno-Rolniczej wykazują, iż 80 proc. gleb jest kwaśnych i wymaga wapnowania. Ponadto są to gleby słabe, piaszczyste, ubogie w potas i magnez. Chociaż nie ma tutaj tak uciążliwej „szachownicy” jak na Podkarpaciu, to i tak nie można w pełni zastosować mechanizacji, gdyż

Dalszy ciąg na str. 7



ZASŁUŻONYM dziennikarzom „Głosu Robotniczego” wręczono odznaczenia i dyplomy.

Bronzowy medal „Za zasługi dla obronności kraju” otrzymał Jerzy Panasiewicz. Dyplomy honorowe Zarządu Głównego SDP za 30 lat pracy w dziennikarstwie PRL wręczyli: Marianowi Bańburze, Januszowi Głowackiemu i Włodzimierzowi Konieckiemu. Medale i dyplomy z okazji 25-lecia pracy w dziennikarstwie PRL przyznano: Jerzemu Panasiewiczowi, Henrykowi Pawlakowi i Marii Rapale.

Za całokształt długoletniej i ofiarnej pracy dziennikarskiej nagrodę prezesa Zarządu Głównego PRL przyznano: Piotrowi Saganowi i członkowi Zarządu Głównego, prezes Oddziału Łódzkiego SDP — Wojciech Drygas.

W SIEDZIBIE Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie wręczono nagrody im. K. Iżykowskiego przyznawane przez Klub Krytyki Filmowej.

Milo nam zakomunikować, że III nagroda przypada w udziale red. Małgorzacie Karbowiak-Pawlak za publikację o tematyce filmowej zamieszczaną na łamach „Głosu Robotniczego”.

W ŁODZI przebywał z gościnnymi występami Teatr S. K. Neumana z Pragi.



Artysty spotkali się z I sekretarzem KŁ PZPR — Bolesławem Koperskim. Podczas spotkania, w którym uczestniczyła także sekretarz KŁ PZPR — Genowefa Adamczewska i wiceprezydent miasta Łodzi Józef Morawiec, zespół otrzymał Honorową Odznakę Miasta Łodzi.

Ta sama odznaka indywidualnie udekorowany został dyrektor teatru — Józef Burda.

W GALERII Chimery (ul. Wólczańska 31) czynna jest wystawa grafiki Jolanty Ciesielskiej i Barbary Rosiak. Artystki są absolwentkami łódzkiej PWSSP i obecnie wystawa jest ich debiutem.

W Ośrodku Propagandy Sztuki można obejrzeć wystawę grafiki Jerzego Trelińskiego. Jest to wystawa retrospektywna prezentująca prace powstałe od 1967 roku do chwili obecnej. Znalazły się na niej kompozycje malarsko-graficzne i grafika projektowa.

W Galerii Bałuckiej (Stary Rynek 2) otwarto wystawę malarstwa i grafiki Krystyny Matysiak.

W Galerii Sztuki Współczesnej czynna jest ekspozycja akwareli Klary Joskowicz.

W Salonie Sztuki Współczesnej otwarto wystawę malarstwa Krzysztofa Kurzakowskiego.

WSPÓLNYM STARANIEM Związku Rady Koordynacyjnej ZG-E „Belchatów”, Zarządu Budowy, ZSMP, redakcji „Przemiany Belchatowskie” i Zarządu Okręgu Łódzkiego Związku Artystów Fotografików zorganizowane w Belchatowie na placu budowy elektrowni, III doroczny plener fotograficzny. W plenerze biorą udział fotograficy z łódzkiego środowiska. Fotografikom zaproponowano kilka tematów prac m. in. „Ludzie i technika”, „Społeczne przemiany”. Przewiduje się, że otwarcie wystawy poplenerowej nastąpi w końcu br.

ZA PRZYKŁADEM baru kawowego „Renata”, gdzie członkowie Stowarzyszenia Plastyków Amatorów wystawiają swoje prace w systematycznie organizowanej mini-galerii. W innych łódzkich kawiarniach podjęto podobne inicjatywy; np. w kawiarni „Dziękanka” w al. ZMP prezentować będą swoje prace studenci PWSSP. Pierwsza wystawa „Malarstwo i rysunek” — Janka Markunasa, studenta IV roku Wydziału Wzornictwa Przemysłowego trwać będzie do 30 września, a jako drugi zaprezentuje swoją twórczość absolwent łódzkiej szkoły K. Rynkiewicz.

POLSKI FILM „Aria dla atlety”, w reżyserii Filipa Bajona, uzyskał Grand Prix na festiwalu Młodego Kina w Hyeres (Francja) ex aequo z filmem produkcji zachodniemieckiej „Umar-twienie”.

O CENNE obrazy Kossaka, Markowskiego i Prochacki wzbogaciły się zbiory Muzeum Historii Miasta Łodzi. Płótna na ręce prezydenta Józefa Piłsudskiego przekazało Zjednoczenie Przedsiębiorstw Budowlano-Montażowych Przemysłu Lekkiego.

Przypominamy, że akcje przekazywania zabytkowych przedmiotów będących w posiadaniu łódzkich zakładów pracy na rzecz Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowano przed kilku laty z inspiracji I sekretarza KŁ PZPR Bolesława Koperskiego.

Najistotniejszą sprawą w ponad tysiącletniej historii stosunków polsko-niemieckich, stanowiącą niejednokrotnie przyczyną niepokojów w Europie, była kwestia granicy między oboma narodami. Klęska Niemiec hitlerowskich w roku 1945 stworzyła warunki dla ostatecznego uregulowania tego problemu, a postanowienia konferencji poczdamskiej sprawiły, że wielowiekowe dążenie narodu polskiego do powrotu na stare ziemie piastowskie stało się faktem.

Ludowe państwo polskie od samego początku było żywnie zainteresowane ustanowieniem dobrosąsiedzkich stosunków z zachodnim sąsiadem, dlatego też z zachowaniem obserwowała stronę polską przemiany zachodzące z Odrą i Nysą Łużycką. Kierowały nimi niemieckie siły antyfaszystowskie i demokratyczne skupione od roku 1946 w Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED) — powstałe z połączenia KPD i SPD. Ogólny kierunek tych przemian stymulowały uchwały podjęte przez aliantów w Poczdamie zmierzające do gruntownej przebudowy społeczeństwa niemieckiego, zarówno w zakresie jego struktury jak i systemu sprawowanej władzy. Materiałną i społeczną bazą dla tych przemian były przeprowadzone na terenie radzieckiej strefy okupacyjnej reformy: rolna oraz uspołecznienie części przemysłu należącego do przedsiębiorstw wojennych, co likwidowało ekonomiczne podstawy dla egzystencji klasy junkrów i wielkiej burżuazji. W szerokim zakresie podjęto wysiłki w celu demokratyzacji szkolnictwa i wyeliminowania z życia społecznego byłych hitlerowców, przy czym o rozmiarach tej akcji świadczy fakt, że działające od roku 1945 do początków 1948 komisje denazyfikacyjne wykrywały i doprowadzały do ukarania przeszło 18 tys. szczególnie aktywnych w przeszłości działaczy NSDAP.

Droga prowadząca do przekształcenia się świadomości społeczeństwa niemieckiego do pełnego zrozumienia konsekwencji wynikających z klęski wojennej i z decyzji poczdamskich była trudna i długa. Podobnie było w kwestii stosunków polsko-niemieckich, gdzie działały wzajemnie wielowiekowe uprzedzenia i urazy. Szczególnie trudnym problemem była sprawa wspólnej granicy, która od roku 1945, na mocy uchwał poczdamskich, przebiegała na linii Odra i Nysa Łużyckiej. Siły lewicowe niemieckiej zdając sobie sprawę z tego, że właśnie stosunek do nowej rzeczywistości terytorialnej będzie jedną z najistotniejszych przesłanek uwiarygodniających przemiany za-

chodzące pod jej kierunkiem, jednoznacznie wypowiedziały się za bezwzględnym uznaniem uchwał poczdamskich. Taka postawa doprowadziła do szybkiego wyeliminowania partii działających w Bloku Partii Antyfaszystowskich, które występowały przeciw tej granicy.

7 października 1949 roku nastąpiło uroczyste proklamowanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, wtedy też powstały polityczne warunki do ułożenia stosunków polsko-niemieckich na dobrosąsiedzkich zasadach. Miara woli politycznej NRD oparcia stosunków z Polską na no-

30 LAT GRANICY POKOJU

wych podstawach było uregulowanie spraw granicznych. Pierwszy premier NRD, Otto Grotewohl w exposé wygłoszonym 12 października 1949 roku oświadczył:

„Polityka pokoju i przyjaźni znajduje swoje uzupełnienie w stosunkach wzajemnych z krajami demokracji ludowej, a przede wszystkim z naszymi sąsiadami — nową Polską i Republiką Czechosłowacji (...). Dla nas granica nad Odrą i Nysą jest granicą pokoju, która umożliwia stosunki wzajemne z narodem polskim”.

Fakt, że rząd NRD natychmiast po proklamowaniu swego powstania zaakceptował wytyczoną wcześniej polsko-niemiecką granicę miał niewątpliwie istotne znaczenie dla podjęcia już 18 października 1949 r. decyzji przez rząd polski w sprawie uznania Rządu Tymczasowego NRD.

Rezultatem dążenia obu stron do jak najszybszego uregulowania wzajemnych stosunków była rychła wizyta delegacji niemieckiej w Warszawie, w czasie której 6 czerwca 1950 r. podpisano Deklarację o wytyczeniu granicy między obu państwami, w której NRD w swoim pierwszym akcie międzynarodowym uznała ją za ostateczną i nienaruszalną.

Równó w miesiąc po wspomnianej Deklaracji — 6 lipca 1950 r. w Zgorzeli nad Nysą Łużycką nastąpiło podpisanie układu o „Wytyczeniu ustalonej i istniejącej polsko-niemieckiej granicy państwowej”.

Wstęp do tekstu układu głosił, że Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

i Prezydent NRD postanowili zawrzeć ten układ: „...chcąc po tragicznych doświadczeniach hitlerizmu stworzyć niewzruszone podstawy dla pokojowego i dobrosąsiedzkiego współżycia obu narodów, (...) uznając ustaloną i istniejącą granicę jako nienaruszalną granicę pokoju i przyjaźni, która nie dzieli, lecz łączy oba narody”.

Polski dziennikarz-korespondent będący świadkiem tego wydarzenia tak opisał je po latach:

„Po raz pierwszy spotkali się nad Nysą Polacy i Niemcy. Nie myślę tu o reprezentantach obu rządów,

ale o zwykłych ludziach. Spoglądali z początku na siebie z pewną złością i rezerwą. Dopiero młodzież dała hasło do wspólnej manifestacji, manifestacji pokoju i przyjaźni. Kiedy ówczesni premierzy Józef Cyrankiewicz i Otto Grotewohl podając sobie dłonie na znak braterstwa i przyjaźni, przypieczętowali tym gestem akt państwowy, zgromadzeni na placu tłum długo manifestował na cześć przyjaźni obydwu sąsiadujących ze sobą narodów”.

30 lat stosunków między obu państwami charakteryzowało aktywne działanie na rzecz ugruntowania przemian zapoczątkowanych w Zgorzeli. Wyrazem nowego typu wzajemnych stosunków były kolejne układy dwustronne: z 15 marca 1967 roku — potwierdzona w podpisanej i ogłoszonej w Berlinie 20 czerwca 1973 r. „Deklaracji o umocnieniu przyjaźni i pogłębieniu współpracy Polski i NRD”. Obecnie obowiązujący układ został zawarty 28 czerwca 1977 roku przez Edwarda Gierka i Ericha Honeckera, należy przy tym podkreślić, że podchodzi on do zagadnienia wzajemnej współpracy w sposób długofalowy, kładąc nacisk na zbliżenie narodów, zwłaszcza młodych pokoleń.

Podsumowując blisko 30-letni okres wzajemnych stosunków Edward Gierek tak je scharakteryzował: „dobrzy sąsiedzi, bliscy partnerzy, niezawodni sojusznicy, wierni przyjaciele”.

TADEUSZ DUBICKI

GRATULACJE!

Z niejakim opóźnieniem, ale serdecznie gratulujemy laureatom tegorocznej nagrody „Trybuna Ludu”:

— prof. dr hab. **ZDZISŁAWOWI GRZELAKOWI**, który otrzymał nagrodę za popularyzację polityki społeczno-gospodarczej PZPR oraz za działalność dydaktyczną wśród studentów Uniwersytetu Łódzkiego,

— lekarzowi z Wielunia w województwie sieradzkim — **JANOWI PALCZYŃSKIEMU**, który otrzymał nagrodę za inicjatywy społeczne w środowisku, w którym pracuje oraz za ofiarną pracę lekarską,

— działaczowi społecznemu z Sochaczewa w województwie skierniewickim — **MACIEJOWI WOJEWODZIE**, który otrzymał nagrodę za całokształt działalności społecznej, a zwłaszcza za upowszechnianie kultury wśród młodzieży uczącej się,

— pedagogowi i działaczowi społecznemu z Opoczna w województwie piotrkowskim — **BOLESŁAWOWI WOJEWODZKIEMU**, który otrzymał nagrodę za wkład

w rozwój życia kulturalnego środowiska, a zwłaszcza za wykorzystanie regionalnych tradycji w rozwoju kultury socjalistycznej, a którego opowiadania drukowały się na łamach „Odgłosów”.

W sobotę, 28 czerwca 1980 roku odbyła się uroczystość wręczenia nagród prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży. Wśród nagrodzonych znaleźli się między innymi:

— Teatr „ARLEKIN”,

— kompozytorzy **JERZY BAUER** i **ANDRZEJ HUNDZIAK**.

Harcerską nagrodę literacką za 1980 rok jury pod przewodnictwem Wojciecha Żukrowskiego przyznało **ZBIGNIEWOWI NIENACKIEMU** za książkę „Pan Samochodzik i złota rakewka” oraz za cały cykl książek o Panu Samochodziku.

Wszystkim nagrodzonym składamy serdeczne gratulacje!

TYDZIEŃ W POLITYCE

Aktywność Polski na arenie międzynarodowej nie trzeba udowadniać. W całym okresie wojennym podejmowaliśmy wiele wspaniałych inicjatyw pokojowych i wspieraliśmy liczne zbrojsze przez inne kraje. Ostatnio, w rozmowie z polskim dziennikarzem, prez. V. Giscard d'Estaing podkreślił np. rolę, jaką w przygotowaniu i przeprowadzeniu spotkania z L. Breżniewem spełnił nasz kraj, a przede wszystkim E. Gierek.

Polskiej polityce zagranicznej poświęcona była w minionym tygodniu jednodniowa debata w Sejmie. Przewodzona była w oparciu o informacje ministra spraw zagranicznych — E. Wojciechowskiego. Na jej zakończenie przemówienie wygłosił Edward Gierek.

„Obronę odroczenia i działania na rzecz rozbrojenia — powiedział I sekretarz KC PZPR — uznaliśmy za naczelne zadanie. Wyrażają je w tym najgłębsze dążenia naszej partii, stronnictw sojuszniczych, wszystkich organizacji tworzących Front Jedności Narodu, całego polskiego społeczeństwa. W żywych kwestiach

pokoju i nienaruszalności granic również stanowisko Kościoła katolickiego w Polsce wyraża powszechne poczucie narodowej racji stanu”.

Na europejskim kontynencie współzależność losów narodów osiągnęła stopień nie znany w historii. I u boga jest myśl, że przynależność do wielkich grupowań musi pozbawiać politykę poszczególnych krajów, zwłaszcza mniejszych i średnich, autentyczności i inicjatywy. Nasz kraj realizując wiernie sojusznicze zobowiązania, wnosząc w utrzymanie pokoju swój twórczy wkład.

Nie ma takich problemów międzynarodowych, których nie można by rozwiązać w drodze rokowań i politycznego dialogu. Nawet w okresie wzrostu napięcia, jak to ma miejsce obecnie, Jesteśmy gotowi zawsze do dialogu i współdziałania w interesie pokoju i odroczenia.

„Byliśmy i jesteśmy za rozszerzeniem procesu odroczenia — powiedział w Sejmie Edward Gierek — za jego uniwersalizacją. Sprzeciwiamy się natomiast próbom przeniesienia napięcia z jednego regionu świata do drugiego, zwłaszcza do Europy”.

W roku bieżącym ważną rolę spełnić może madryckie spotkanie przedstawicieli państw uczestniczących w KBWE. Powinno ono przynieść nowe impulsy, ożywiające proces odroczenia. Na czoło wszystkich współczesnych problemów wysuwa się rozbrojenie. Zadanie powstrzymania wyścigu zbrojeń jest tym pilniejsze, że decyzje NATO stwarzają realną groźbę eskalacji zbrojeń.

Na VIII Zjeździe PZPR wyrażiliśmy gotowość goszczenia w Warszawie konferencji odroczenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Mogłaby ona wywarować skuteczne środki, zmierzające do obniżenia poziomu zbrojeń i współdziałania wszystkich krajów, które zo-

żyły swe podpisy pod Aktem Kończącym, w dziedzinie budowy wzajemnego zaufania.

Doniosłe znaczenie dla polepszenia klimatu międzynarodowego miałyby jak najszybsza ratyfikacja przez Stany Zjednoczone porozumienia z ZSRR o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Konieczne są także rozmowy na temat ograniczenia broni rakietowo-lądowej średniego zasięgu w oparciu o zasady równego bezpieczeństwa.

Zwrotowi na gorzej, jaki nastąpił w stosunkach międzynarodowych, należy przeciwstawić aktywne działania na rzecz pokoju. Kierunek działania wyznaczała zasada, zawarta w historycznym Akcie Kończącym konferencji helmskiej. Droga napieda, która obraby sily imperialistyczne, wspierane przez hegemonistyczną i antyradykalną politykę Pekinu prowadzi do nika. Na tej drodze nie można rozwiązać żadnego problemu. Dlatego tak ważne jest osłabienie wpływów rzeszników zimnej wojny i utrwalenie istniejącej a przecież budowanej latami struktury pokoju. Polska, jak zawsze działając będzie w tym kierunku.

„Naszym największym obowiązkiem — powiedział Edward Gierek — jest uczynić wszystko, co możliwe, aby w obecnej trudnej sytuacji i w obliczu istniejących zagrożeń zapewnić bezpieczeństwo naszego państwa i pokojową przyszłość naszego narodu. Są to wartości najwyższe, godne każdego wysiłku”.
Swoją pozycję w świecie budowaliśmy również potencjałem gospodarczym kraju. Dlatego tego pomnażanie przeżywać będziemy trudności, jakie powstały, jest przyczynianiem się do zachowania i utrwalania roli Polski w świecie. Na taki logiczny związek wskazywała właśnie debata sejmowa.

W. SŁAWSKI

TRUDNOŚCI

W numerze „Odgłosów” z dnia 23 czerwca br. Grzegorz Gazda w „prze-gładzie” programów telewizyjnych, zwrócił uwagę na emitowane w ostatnią środę Studio Telewizji Młodych, którego tematem były „trudności”.

„...Dyskusję ilustrował eksperyment polegający na tym, iż w jednym z ruchliwszych miejsc stolicy ustawiano niewysoką tablicę z napisem „trudności”. Liczni przechodnie, przywykli do rozmaitych barier, wyrw i wykopów, omijali owe „trudności”, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że oto uczestniczą w eksperymencie. Wówczas do akcji wkroczył reporter z mikrofonem. Pokazywał przechodniom stojącą tablicę i pytał jak oni pokonaliby tę trudność. Jeden z nich ze zwinnością Jacka Wszoły, przeskoczył planszą i poszedł dalej. Jeszcze inny odpowiedział, że taką „trudność” to on by kopnął (...) i kopnął tablicę, aż posypały się z niej drzazgi” (cytat z artykułu Grzegorza Gazdy „Pokonywanie trudności”).

Milo mi — jako współautorce, że został zauważony program, który (z wyjątkiem rozmów z psychoterapeutą) został zrealizowany w Łodzi przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny. Tablica z napisem „trudności” ustawiona była na jednej z ulic, tyle tylko, że tą ulicą była nie warszawska, ale jedna z łódzkich — ulica Piotrkowska.

Jeżeli ma ktoś ochotę kopnąć trudności z przekonaniem, że poradzi sobie z tymi, które spotyka na co dzień — zapraszamy do naszej redakcji. Służymy tablicą, choć jest już trochę zdezelowana. Dobra chyba będzie do treningu przeskakowania, odsuwania, czy obchodzenia własnych trudności.

Z poważaniem

MAŁGORZATA KALUŻYŃSKA

ULICE MIASTA

Kogokolwiek by zapytać, gdzie znajduje się w Łodzi ul. Fryderyka Chopina, każdy odpowie, że nie wie. Nie wie zapewne o tym i Pan, Panie Redaktorze, nie wie o tym za- den przeciętny mieszkaniec Łodzi, nie wiedziałem dotychczas i ja.

Otoż ul. Chopina znajduje się za Bałuckim Rynkiem, w sąsiedztwie ulic Murarskiej, Blacharskiej, Zabiej, Gęsiej, Dzikiej (!).

Sądze, że Chopin, który rozślawił imię Polski na całym świecie, zasłużył na to, aby zaszczylić swym nazwiskiem jedną z pryncypalnych ulic Łodzi.

Ponieważ przemianowywanie jednej z ulic śródmieścia byłoby z różnych względów niezręczne i niewskazane, przeto proponuję, aby nazwiskiem wielkiego Polaka nazwać jedno z niedawno powstałych lub nowopowstających osiedli — ewentualnie jedną z pryncypalnych ulic takiego osiedla — bulwar Chopina.

Przy okazji zapytuję, czy nie byłoby wskazane, aby ulice w coraz to liczniej powstających osiedlach oznaczać numerami i literami. Pozwalałoby to uniknąć w przyszłości tworzenia nowych dziwogłów w rodzaju Zabiej, Gęsiej itp., a równocześnie ułatwiłoby niezmiernie orientację zarówno mieszkańcom osiedli, jak i przybyłym ze śródmieścia. Sądze, że śladem Łodzi poszłyby niebawem i inne miasta, nie wyłączając stolicy.

WITOLD M.

(Nazwisko i adres znane redakcji).

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOŁICKA, JACEK INDELA, EDUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCZYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RY- WORSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: ANDRZEJ BIAŁER, TADEUSZ BIAŁEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORIOŃSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PAN- KIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Uzyskanie wydajnej poprawy w zakresie warunków życia naszego społeczeństwa wymaga pogłębienia intensywnych metod gospodarowania zasobami pracy, podniesienia ogólnej kultury produkcji, uszlachetnienia motywacji i wzbogacenia pobudki ludzkiego postępowania. Ludzie bowiem, ich wiedza, umiejętności i talenty, inicjatywa i zaangażowanie decydują o efektywności wykorzystania posiadanych środków i możliwościach tworzenia nowych wartości.

Obecnie, mimo dużych starań społecznych o wyższą jakość pracy, dążenie do wysokiej jej efektywności i staranności wykonywania nie jest w wielu przypadkach powszechną normą postępowania, gospodarowania i kierowania. Na co dzień występują bowiem dość powszechnie różne zjawiska negatywne, które świadczą zarówno o postawach niektórych ludzi jak i wynikach ich pracy. Są to na przykład:

— niska jakość produkcji i niska wydajność pracy obciążająca od subiektywnych i obiektywnych możliwości,

— absencja, niepunktualność, nieproduktywne wykorzystanie czasu pracy, społecznie nieuzasadniona głąbność kadr, wypadki przy pracy spowodowane niedopełnieniem obowiązków, awarie techniczne itp.,

— brak inicjatywy, asekuranctwo, brak inicjatyw w rozwiązywaniu zadań zawodowych, przy niejednokrotnie równoczesnym rozwijaniu aktywności dla osiągania celów prywatnych,

— brak „nastawienia innowacyjnego”, dążenia do uzyskania coraz lepszych efektów przy oszczędzaniu zużyciu służących do tego środków, — brak należytej dbałości o interes społeczny, różne postacie niedbalstwa w realizacji obowiązków wynikających z uczestnictwa w procesie pracy.

Źródła występowania tych społecznie szkodliwych zjawisk mają naturalnie charakter złożony i wieloaspektowy. Poszukując ich podłoża można ogólnie powiedzieć, iż są one rezultatem stosunkowo niskiego poziomu kultury ekonomicznej naszego społeczeństwa i zbyt słabego jego wychowania w duchu gospodarności. Właśnie w sferze tej kultury, w oddziaływaniu na ludzką świadomość, na postawy, zachowania, nawyki i przyzwyczajenia tkwią ogromne rezerwy wzrostu społecznej wydajności pracy, podniesienia jej sprawności i jakości.

Człowiek żyjący w społeczeństwie podlega zawsze oddziaływaniu kultury. Ona to bowiem formułuje motywacje jego działań, ukierunkowuje jego zachowanie stosownie do zasad współdziałania z otoczeniem naturalnym i potrzeb życia społecznego. Kulturę najczęściej ujmujemy się w sposób bardzo szeroki jako zespół form działania, zachowania się w ramach pewnej zbiorowości. Jest ona tworem tradycji, przekonań, nawyków, naśladowania, wzorów czy odbiciem poziomu wiedzy. W ujęciu społecznym kulturę definiuje się jako „ogół wytworów działalności ludzkiej — materialnych i niematerialnych wartości i uznawanych sposobów postępowania zobiktywizowanych i przyjętych w dowolnych zbiorowościach, przekazywanych innym zbiorowościom i następnym pokoleniom”. (J. Szczepański „Elementarne pojęcia socjologii”).

Pojęcie kultury można odnieść do wszystkich dziedzin społecznej działalności człowieka, w tym również i do procesu gospodarowania i ten typ kultury można nazwać kulturą ekonomiczną. Kultura ta, tak jak każda inna kultura, jest elementem świadomości społecznej ściśle powiązanym z postawami ludzi, z tym co nazywamy „moralą” społeczeństwa. Obejmuje ona „formy działań i zachowań społecznych w dziedzinie ekonomii, odbija przyjęte wzory i nawyki gospodarowania, poziom wiedzy ekonomicznej, przekonania ludzkie. Jest ona elementem świadomości ściśle powiązanym z określonymi postawami a więc również z moralnością”. (A. Melich „Społeczne cele gospodarowania 4”).

W społeczeństwie socjalistycznym, z uwagi choćby na humanistyczne cele produkcji, u podstaw każdego procesu gospodarowania powinna tkwić głęboko owa kultura ekonomiczna. Jej posiadanie potrzebne jest bowiem każdemu pracownikowi nie tylko po to, aby mógł dobrze i efektywnie pracować. Jest ona niezbędna także dla wielostronnego rozwoju człowieka, jego osobowości i umysłowości, jak też dla aktywnego uczestniczenia w procesach gospodarowania i zarządzania. Każdy więc człowiek, nie będąc ekonomistą powinien dążyć do posiadania niezbędnej wiedzy o podstawach gospodarowania, wiedzieć na czym polega gospodarowanie nowoczesne, rozumieć jego zasady i umieć je stosować na swoim stanowisku pracy. Bez tej elementarnej wiedzy współczesny człowiek staje się nie w pełni świadomym a nawet kulturowo zubożonym.

W naszym społeczeństwie, mimo ogromnego zainteresowania problematyką ekonomiczną i sposobami

gospodarowania za mało robi się dla podniesienia kultury ekonomicznej pracowników i to nie tylko w zakresie propagowania powszechnej ekonomizacji, która przecież wprowadzając nawyk myślenia ekonomicznego, spełnia ważną rolę w tworzeniu podstaw tej kultury. Choć mamy poważne osiągnięcia zarówno w nauce ekonomicznej jak i w praktycznym działaniu, to jednak za dużo jest u nas marnotrawstwa sił i środków, niedbalstwa, niesumienności, a za mało staranności i szacunku do dobrej pracy! gospodarskiego stosunku do własności społecznej. Także poziom wiedzy ekonomicznej społeczeństwa nie odpowiada potrzebom gospodarki i rozwoju społecznego, niedostatecznie pogłębione są również badania naukowe nad procesami budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalis-

ośmiędziesiątych — stwierdza się w tej uchwale — będzie efektywne wykorzystanie wszystkich czynników produkcji. Konieczne jest optymalne rozmieszczenie i wykorzystanie zasobów pracy w gospodarce, doskonalenie organizacji pracy i lepsze wykorzystanie czasu roboczego. Niezbędna jest zasadnicza poprawa dyscypliny pracy, rytmiczności zaopatrzenia przedsiębiorstw oraz usprawnienie powiązań kooperacyjnych między zakładami”.

Działania zmierzające do osiągnięcia wyższej jakości pracy, z istoty tak sformułowanego zadania muszą mieć charakter kompleksowy, daleko wykraczający poza sferę czysto ekonomiczną. Również samo rozumienie tej jakości musi być o wiele szersze i bogatsze niż w znaczeniu, jakie nadaje jej praktyka gospodar-

naukowego, szkoły i uczelni, do placówek naukowej, do każdej instytucji publicznej i każdego organu władzy. Przesłanki wyższej jakości pracy tkwią głęboko w sferze stosunków międzyludzkich, w środowisku pracy i w domu, w działalności państwowej i społecznej. Podwyższenie jakości pracy wymaga długotrwałych wysiłków we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i społecznego”.

Szczególnie znaczenie dla podnoszenia jakości życia ma osiąganie wysokiej jakości pracy w działalności wytwórczej i to zarówno w sferze decyzyjnej jak i wykonawczej. Praca produkcyjna bowiem i jej efekty stanowią podstawę wszystkich form działania ludzkiego i kształtują treść innych, pozaprodukcyjnych sfer działalności społecznej. Osiągnięcia w tej dziedzinie tworzą

marnotrawstwo pociąga za sobą coraz większe straty społeczne. Straty te to zarówno nie wykorzystane jak i nie stworzone możliwości, a więc na przykład: utracona produkcja, mniejsze dostawy towarów i usług na rynek i eksport, nieproduktywne starzenie się fizyczne i ekonomiczne maszyn i urządzeń, nie osiągnięty poziom dochodu narodowego wskutek niewytworzenia środków służących wytwarzaniu innych dóbr, wzrost napięć w gospodarce narodowej, niezaspokojone potrzeby społeczne i związane z tym różne reperkusje społeczno-gospodarcze.

Druga dziedzina to organizacja pracy. Jest to chyba dziedzina, w której mamy najwięcej do zrobienia. Powszechnie uważa się, iż stan organizacji pracy jest w naszych przedsiębiorstwach niezadowolający. Z badań Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych wynika, że aż 90 proc. ankietowanych uważa rozwiązania w zakresie organizacji za niewystarczające. Istniejące tutaj zaniedbania pociągają za sobą dodatkowe nakłady inwestycyjne i nadmierny wzrost zatrudnienia, utrudniając pracę sprawną i rzetelną, rodzą niezadowolone pracowników, a samą pracę pozbawiają wychowawczego oddziaływania.

W wielu zakładach usprawnienie organizacji należy rozpocząć od wprowadzenia elementarnego porządku organizacyjnego, tzn. od eliminowania ewidentnych strat materialnych i strat czasu pracy, wynikających z niewłaściwie urządzonego stanowiska pracy, złego zaopatrzenia tego stanowiska w materiały i narzędzia a przede wszystkim z przestarzałych rozwiązań transportowych, zbyt uciążliwych i nadmiernie absorbujących pracę ludzką.

Program doskonalenia organizacji pracy powinien stanowić integralną część programu działalności każdego przedsiębiorstwa i uwzględniać takie kierunki działania, które pozwoliłyby osiągnąć postęp nie tylko w zakresie usprawnienia przebiegu pracy, ale także na znaczny nawet oszczędność etatów. Duże możliwości w tym względzie kryją się zwłaszcza w mechanizacji transportu, komputeryzacji zarządzania, we wzbogacaniu treści pracy i scalaniu operacji roboczych a także w stosowaniu na szerszą skalę obsługi zlożonej wymagającej od pracownika posiadania dwu lub więcej pokrewnych specjalności (np. hydraulik i elektryk, mechanik i elektryk, kierowca, mechanik i elektryk itp.).

Trzecia dziedzina to sprawy jakości, użyteczności, niezawodności i nowoczesności wyrobów. O jakości pracy produkcyjnej powinno decydować to, czy wytwarzane wyroby zapewniają opłacalność w granicach obowiązujących kryteriów i czy znajdują zbytnie na rynku wewnętrznym lub za granicą. Dotyczy to zarówno dóbr konsumpcyjnych jak i inwestycyjnych. Wadliwa produkcja wyrobów rynkowych powoduje obniżenie poziomu płac realnych i spadek dochodu narodowego, ogranicza możliwości eksportowe, w poszerzaniu których przecież decydująca jest jakość. Niska jakość dóbr inwestycyjnych zainstalowanych w obiektach przemysłowych, czy też niedostateczna ich trwałość osłabia produktywność majątku trwałego, zmniejsza rzeczywiste rozmiary produkcji w sposób bezpośredni w wyniku uzyskania mniejszej jej ilości lub jakościowo gorszej i pośredni wskutek wczesnej odnowy bądź rekonstrukcji różnych elementów tego majątku. Straty z tytułu wadliwej jakości wytwarzanych wyrobów zarówno o przeznaczeniu eksploatacyjnym jak i konsumpcyjnym są u nas wciąż jeszcze duże i sięgają kilku procent dochodu narodowego.

Walka o wyższą efektywność i jakość pracy to więc głównie przeciwdziałanie marnotrawstwu gospodarczemu we wszystkich jego przejawach, to przezwyciężanie atmosfery tolerancji dla złej pracy ludzi i zakładów odpowiedzialnych za złą jej organizację, za lekceważący stosunek do obowiązków służbowych za straty społeczne wynikające z rozrutnego gospodarowania jej zasobami i z niskiej jakości jej rezultatów. Uzyskanie sukcesów w tej walce nie może się oczywiście ograniczać do najbardziej nawet skutecznych przeciwdziałań o charakterze ekonomicznym czy administracyjnym. Konieczne są tutaj poważne zmiany w świadomości, postawach i zachowaniu ludzi, dalsze rozwijanie i umacnianie socjalistycznych stosunków produkcji w całym społeczeństwie i w każdym zakładzie pracy, podniesienie społecznej wartości samej pracy i wzbogacenie systemu motywacji. Istotną rolę w tej walce ma do odegrania również rzetelna edukacja ekonomiczna i wychowanie społeczeństwa w duchu gospodarności, utrwalające nawyki dobrej pracy, uczynność i odpowiedzialność oraz umiejętność ekonomicznego myślenia nie tylko w kategoriach dnia dzisiejszego lecz także w kategoriach jutra.

JOZEF FENC

CAŁY CZAS

tycznego i strategią społeczno-gospodarczego rozwoju.

Ekonomiści nasi przez wiele lat utrwalali teorie wzrostu, eksponując czynniki ilościowe, lokując cały swój wysiłek intelektualny w staromodne koncepcje (np. koncepcja wzrostu M. Kaleckiego). Podobnie nie jest właściwie u nas doceniana i wykorzystywana w praktyce wiedza ekonomiczna. System gospodarczy przez wiele lat preferował osiągnięcia ilościowe, techniczno-produkcyjne, tym samym nie wyrażał konsekwentnej realizacji wskaźników jakościowych i efektywnościowych. Powstała wskutek tego sytuacja, w której wiedza ta nie została w pożądanym stopniu zdyskontowana a myślenie ekonomiczne nie stało się utrwalonym nawykiem racjonalnego gospodarowania. Również wprowadzone w ostatnich latach zmiany w systemie zarządzania przemysłem w kierunku rozwiązania elementów zarządzania parametrycznego nie doprowadziły do odczuwalnego podniesienia kultury ekonomicznej i poziomu gospodarności. Możliwość wprowadzania porządku nowości, sprzedawanych po wysokich cenach, których zadaniem było absorbowanie wysokich dochodów nie sprzyjała wyzwaniu rezerw, oszczędnemu wykorzystaniu czynników produkcji, ani też podnoszeniu ogólnej gospodarności i efektywności pracy.

W związku z tym powstała potrzeba zintensyfikowania działań na rzecz dalszego wzrostu efektywności i jakości pracy oraz doskonalenia mechanizmów motywacyjnych zawartych w polityce płac, stwarzaniu korzystnych warunków pracy, doskonaleniu stosunków międzyludzkich itp. Potrzeba takich zespoleń działań została silnie zaakcentowana w uchwale VIII Zjazdu PZPR, w której podniesienie efektywności gospodarowania uznano za centralny i strategiczny problem naszej gospodarki.

„Kluczowym zadaniem w latach

W praktyce jakość pracy ujmujemy się zazwyczaj w kategoriach efektywności ekonomicznej, wiążąc ją z jakością produkcji, funkcjonalnością i niezawodnością towarów czy usług, z estetyką produktu i jego opakowania. Takie jej wąskie ujmowanie nie odpowiada oczywiście ani wysokiej randze pracy, jaką nadaje jej w społeczeństwie socjalistycznym, ani też celom naszej polityki społeczno-gospodarczej.

Jakość pracy jest oczywiście pojęciem o wiele szerszym i bogatszym, zawierającym bardzo istotne treści społeczne, humanistyczne i moralne. Wyższa jakość pracy oznacza niewątpliwie pracę bardziej wydajną, ekonomicznie efektywniejszą, dającą coraz lepsze i nowocześniejsze produkty, wykonywaną w coraz lepszych warunkach technicznych i organizacyjnych i coraz mniejszym nakładem sił, przy właściwych stosunkach międzyludzkich i należytym zabezpieczeniu socjalnym. Oznacza ona więc stwarzanie takich możliwości, aby człowiek ją wykonując dążył do oszczędności nakładów służących realizacji podstawionych zadań, aby pracował bez przeciążeń, żeby ta praca go intelektualnie angażowała i była dla niego źródłem rosnącego zadowolenia.

Zasada wysokiej jakości pracy wiąże się z wszelką działalnością człowieka. Toteż jej poprawa i podniesienie efektywności działania dotyczy nie tylko sfery produkcyjnej, ale całego życia społecznego: kultury handlu i usług publicznych, sprawności pracy urzędów i instytucji itp., a nade wszystko kultury stosunków między ludźmi.

„Postulat wysokiej jakości pracy — powiedział Edward Gierek na XIII Plenum KC PZPR — odnosi się do całego społeczeństwa i do każdego obywatela, do pracy produkcyjnej i do wszelkich innych form społecznie niezbędnej działalności, do zakładu produkcyjnego, gospodarstwa rolnego, instytutu

materiałną podstawę zaspokojenia potrzeb wyższego rzędu, rozwoju kultury, nauki, sztuki, infrastruktury dla wypoczynku itp., a więc wpływają i to zazwyczaj w sposób zasadniczy na doskonalenie i wzbogacanie różnych form współżycia społecznego.

Poprawa jakości pracy w sferze produkcyjnej wymaga rozwiązania wielu kompleksów spraw, stworzenia lepszych warunków sprzyjających gospodarności i postępowi techniczno-ekonomicznemu. Wydaje się, iż w całokształcie jej uwarunkowań wysiłek powinien być skoncentrowany głównie na uzyskaniu znacznego postępu w trzech dziedzinach.

Pierwsza dziedzina to kompleks spraw związanych z wykorzystaniem czasu pracy. W naszej gospodarce zjawiskiem powszechnym jest marnotrawstwo tego czasu. Badania wykazały, że przeciętne straty czasu na stanowiskach roboczych wynoszą 30—40 minut w ciągu zmiany roboczej. Stanowi to w skali rocznej odpowiednik 120—160 godzin w przeliczeniu na jednego robotnika, a w przemyśle i w budownictwie ekwiwalent czasu pracy ok. 420 tys. pracowników. Największe straty czasu ponosi gospodarka z powodu wysokiej absencji. Straty te z roku na rok są coraz większe. W okresie lat 1973—1978 codzienna absencja w pracy wynosiła 7,4 — 8,0 proc. bieżącego stanu zatrudnienia i wyrażała się liczbą ok. 640 tys. osób w 1973 roku i 730 tys. w 1978 roku.

Czas pracy nabiera coraz większej wartości, staje się coraz droższy ekonomicznie, gdyż z jednej strony kurczy się stale jego wymiary (skracanie tygodnia pracy, wydłużanie urlopów, obniżanie wieku emerytalnego itp.), z drugiej zaś — rośnie wartość urządzeń produkcyjnych, surowców i materiałów, a także cena pracy ludzkiej coraz bardziej wykwalifikowanej i złożonej. Wszystko to sprawia, że staje się on miarą coraz bardziej pojemną, a tym samym coraz cenniejszym dobrem, którego



Foto: Z. W. Nowak

ZE ŚWIATA

Na mojej ulicy życie rozpoczyna się wczesnym rano. Około 6 zamykają się drzwi zabierają plastikowe worki wystawione przed domami. Nieco później roznoszą rozstawiają butelki z i pt. mleka. Mała powtórka: 1 pint mleka, czyli 1 półkwarta, czyli 0,568 litra nam litra. Uff. Wypiarze przeszli, co prawda niechętnie na dziesiątym system monetarny, ale nadal podkreślają swą odrębność od kontynentu swoistym systemem miar i wag. Podobnie jak ruchem lewostronnym. Przybywa z zewnątrz łatwo poznać po tym, iż na skrzyżowaniach spogląda w odwrotną stronę, niż ta, z której można spodziewać się samochodów. Na mojej ulicy dla większego bezpieczeństwa namalowano więc wielkimi literami na jezdni: patrz w prawo, patrz w lewo. I ustawiono uliczne automaty, które po naciśnięciu guzika zapalają bezpieczne dla przechodnia zielone światło.

Około 7.30, na mojej ulicy można spotkać 2 starszych gentelmentów wracających truchcikiem z porannego biegu nad Tamizą. Przed 8 pojawia się na ulicy listonosz z najwzrostlejszym w świecie parciannym workiem. O 12 przejdzie ulicą po raz drugi. Zna już mnie i codziennie pozdrawia niezmiennym:

— Śliczny dzień mamy dzisiaj, prawda?

Co świadczy o ogromnym optymizmie, gdyż ranki są tu w tym roku pochmurne.

Ranitko zajeżdżają na moją ulicę samochody z towarami. Stoją przed sklepem spożywczym, warzywnym, z mrożonkami. Trochę później, tuż za rogiem, bliżej Warwick Way wystawiają swoje stoiska sprzedawcy owoców i warzyw. Teraz w lecie stosunkowo tanie są pomarańcze, cytryny i banany. Ładną mandarynkę można dostać za 6, 8 pensów, banana za 12, 13. Droższe są ananasy — jeden 50 p. brzoskwinie — 18 p. jedna i jabłka — 18—20 p. jedno. Owoce i warzywa gospodynie kupują w niewielkich ilościach, stąd zwyczaj wyceniania na sztuki.

Obok kramów z owocami na mojej ulicy wystawia swoje towary sprzedawca toreb, ubrań i domowych akcesoriów, wśród których przykuwają oczy piękne angielskie filizanki i talerze. Kupujących jest niewielu. Na mojej ulicy jest jeszcze sklep z przyborami papierniczymi, jubiler, drogeria. W piątek wieczorem i w sobotę w południe tłoczno jest przed piekarnią, która sprzedaje angielskie i kontynentalne pieczywo (angielski chleb jest pokrojony w kromki do grzaniek i zdecydowanie nie smakuje cudzoziemcom).

Gwaro jest w sklepie z rybami i nawet u rzemieślnika. Gospodynie kupują przeciw zapasy na weekend. Trzeba uważać na wydawaną resztę. Kupcy z całego świata nie zawsze są kryształowo uczciwi. Wczoraj kasjer w turbanie oszukał mnie na pół funta, dziś nie wydał reszty sąsiadce. Trudno, nie będziemy więcej u niego kupować. Mieszkańcy

mojej ulicy najchętniej robią zakupy w wielkim magazynie „Tesco”. Tam spotykają się sprzątaczkę z Belgrave Street, gdzie hotel sąsiaduje z hotelem, listonosze, kelnerzy i urzędnicy. Czarni i biali.

W „Tesco” jest w czym wybierać, a ponadto jest zawsze o kilka pensów taniej. Półki w sklepie wabią kolorami i opakowaniami. Nie wierzę jednak napisom na torebkach i puszkach. Zawartość każdej z nich ma co najmniej zagwarantować zdrowie, młodość, długie życie i nieomal wieczne zbawienie. Tymczasem wewnątrz nich kryje się doskonałe spreparowana — gotowa nieomal do natychmiastowego spożycia i prawie zupełnie pozbawiona smaku żywność. Angliki nigdy nie słynęli z dobrej kuchni. Brytyjski lekarz dr Robert Lefever pisał w jednym z raportów, iż angielskie panie domu „uśmiercają swoje rodziny nadmiernie tłustą kuchnią”. Dużo, bo aż 500 miligramów cholesterolu dziennie na głowę ma swoje odbicie w chorobach serca i krążenia — najczęstszej przyczynie zgonów.

Nie lubiące kuchni angielskie panie domu nie zepsuły jednak mleka, herbaty, piwa i whisky. Najpopularniejsza jest oczywiście herbata (55 proc. ogólnej konsumpcji napojów), której coraz większą konkurencję robi kawa. Mieszkańcy wypiją każdego roku 3 butelki szkodliwej whisky, 9 butelek wina, oraz 206 kufli piwa i jak wleść nieświeżemu na rok piłe więcej. Zła sława angielskiej kuchni i wieczne nieograniczone mieszkania wypędzają Anglików do pubów, klubów i restauracji.

Na mojej ulicy są dwa takie puby. Z lustrzanymi barami, automatami do gier, telewizorami. W piątek wieczorem robi się w nich tłoczno, a już w sobotę i w niedzielę trudno się wcisnąć. W ciepłe dni goście wychodzą na ulicę i siadają przy stolikach z kufkami piwa. Czasami śpiewają nieznane nam piosenki o łatwo wpadających w ucho melodiiach. Do pubów, królestwa panów, zaglądają już zupełnie swobodnie panie i nierzadko można zobaczyć siwe damy siedzące w milczeniu nad szklaneczką sherry.

Na mojej ulicy spotykam często starsze panie. W kolorowych kapeluszach przybranych kwiatami należą do londyńskiego królestwa.

— Jaka piękna pogoda, kochanie — mówi do mnie taka nieznajoma starszuszka.

— Czy nie zabił cię czasem, moje słotko? — pyta inna widząc, że rozglądam się niepewnie na rogu.

My darling, my honey, my love — sama słodczy w tych słowach skierowanych do obcych. Tak samo zwracają się do kotów, które leniwie wygrzewają się na parapetach domów mojej ulicy. Ogromne — puszyste, zadbane, dla których kupuje się w sklepach specjalne odżywki. Podchodzą wczoraj do grupki ludzi pochylonych nad kimś na jezdni, myśląc, że może ktoś zasnął, że po-

trzeba pomocy, a tu na chodniku wyciąga się rozkosznie ogromne, podobne do tygrysa kocisko. — Jaki śliczny, pewnie mu gorąco — słyszą.

Dwa kroki dalej, na trotuarze obdarta kobieta wyciąga z torby na śmieci reszki jedzenia. Samotnie, bez widzów. Za chwilę pan w średnim wieku prowadzi na smyczy szczupłego chłopaka. Szalenie w

NA MOJEJ ULICY

(Korespondencja z Londynu)

obroży na szyi przerażająco szczeka. Coś ścisła za gardło, paraliżuje ruchy. Rozbawieni kotem pochylają jeszcze niżej głowy.

Na mojej ulicy, którą całą można przejść w 15 minut po jednej stronie, stoją jednakowe, 2-piętrowe białe domy. Otoczone balustradkami prowadzą do zwykłego angielskiego wnętrza. Są stare, mniej lub bardziej zadbane.

Po drugiej stronie Rada Miejska zbudowała osiedle. Domy o różnej wysokości przypominają z góry plaster miodu. Na parterze miniaturowe ogródki — 3 x 3 metry. Plan osiedla informuje, gdzie szkoła, gdzie pralnia, gdzie biblioteka i dom starców. Mój gospodarz, Irlandczyk po 50-tce mr David Richard opowiada, że połowa lokatorów nie płaci czynszu, jest po prostu za drogi. On sam też zamierza sprzedać dom. Pracuje na pół etatu jako strażnik, w przedsiębiorstwie. Dom jest stary, zniszczony przez lokatorów, nie jest w stanie dłużej go utrzymać.

Na mojej ulicy stoją w długim szeregu samochody. Najwięcej jest małych zgrabnych Morrisów, ostatni model „Mini Car 1000”.

Na mojej ulicy nie ma wytwornych restauracji. Mieszkańcy najchętniej jedzą lunch w tutejszej „Cafe”. Małe podłużne stoliki, obite czerwonym ceratą, ławy. Jest tu miło i bardzo swojsko. Sporo osób je i czyta gazety. Podobnie jak w dzielnicowej samoobsługowej pralni, w której za 50 p. można wyprać i wysuszyć cały dobytek. Największy tłok jest właśnie w soboty i w niedzielę.

W sobotnie południe chłopak z dziewczyną sprzedają na rogu „Socialist Worker”. W miniony weekend dziennik zapraszał na festyn Partii

Komunistycznej do Aleksandra Pałace. Tegoroczny festyn w dniu 15 czerwca przypadł w 50 rocznicę założenia gazet „Morning Star” i „Daily Worker”. Jedziemy zobaczyć to gazetowe święto, podobne do festynów naszej „Trybuny Ludu” i „Głosu Robotniczego”.

Ze wzgórza na którym stoi Aleksandra Pałace przepiękny widok na leżące w dole miasto. Festyn — rzeczywiście podobny do polskich, tylko reklama organizujących go gazet znacznie, znacznie skromniejsza. Na estradach występy beatowych orkiestr, stoiska z książkami, reprodukcjami, zabawkami. Jest ciepło i wiele osób odpoczywa na trawie. Przeważnie młodzi, w kłapy kołnierzyków mają wpięte kolorowe, festynowe znaczki. Festyn trwa do 11 w nocy i jeszcze o zmierzchu wysiadają z autobusów kolejni goście. W weekend zapomina się o dniu powszednim, o strajkach a strajkują właśnie pielęgniarki, inżynierowie i muzycy z orkiestry symfonicznej BBC.

Turyści na ogół unikają podobnych wiadomości. Wolą obserwować na przykład parady wojskowe z okazji 80 rocznicy urodzin Królowej Matki. Parada straży królewskiej na placu przed Horse Guide przyciąga tłumy. Strażnicy w kolorowych czarno-złoto-czerwonych mundurach przypominają ułanów Franciszka Józefa, a całość popisu, z muzyką, przerywana raz po raz brawami jest bardzo widowiskowa i co tu ukrywać, traci operetkę.

Mój gospodarz krzywi się na wspomnienie królowej. Zapytany o datę jej urodzin krzywi się i wzrusza ramionami, choć z każdego kiosku z gazetami patrzy uśmiechnięta twarz starszej pani. — Jestem anarchista — mówi i dalej spokojnie sączy piwo.

O 7 po południu, z dzielnicowej biblioteki wychodzą ostatni czytelnicy. (Na Wyspie nie mówi się o 18, tylko właśnie o 7). Biblioteka na mojej ulicy jest przytulna i nieźle zaopatrzona. W hallu ogłoszenia: „Jeśli masz czas, pomóż dzieciom przy odrabianiu lekcji, wielu uczniów ma trudności z czytaniem, zbieramy stare zabawki, książki i opakowania. Przydadzą się dla dzieci”.

Wieczorem właściciele psów na mojej ulicy wyprowadzają je na spacer. Od czasu do czasu zaczepnie zagwizdzą na Ciebie z przejeżdżającego samochodu mioty człowiek. Na ogół jest tu spokojnie i cicho. Późnym wieczorem wychodzą ostatni podróżni z metra, ze stacji Pimlico u wylotu mojej ulicy. Jadąc w dół schodami ruchomymi można czytać reklamy i ogłoszenia, swoistą kronikę życia miasta.

„Podejrzewasz, że jesteś w ciąży. Zadzwoń do nas. Udziałamy bezpłatnych porad. Przeprowadź kontrolny test. Znajdziesz go w każdej aptece”.

„Zobaczylesz bezpieczni bagaż. Nie ruszaj go pod żadnym pozorem. Nie zbliżaj się. Zawiadom obsługę, poinformuj pasażerów” — instruuje w obawie przed podłożonymi materiałami wybuchowymi personel metra.

Wieczorem na mojej ulicy zamiera życie. I pomyśleć, że 15 minut stąd można się znaleźć w Tate Gallery, gdzie właśnie wystawia się ekscentryczny Salvador Dali, że blisko stąd do Parlamentu, Big-Benu i O-pactwa, że niedaleko Opera i teatru na West-Endzie, gdzie spotyka się cały elegancki międzynarodowy świat.

W milonowej metropolii — moja ulica Tachbrook Street żyje swym własnym życiem.



TURYSTYKA NA WĘGRZACH

W ubiegłym roku węgierscy celnicy odprawili na przejściach granicznych około 43 mln turystów i w 17 tys. przypadkach ewidentnego naruszenia przepisów musieli wszcząć postępowanie karne. Jak stwierdził w wywiadzie dla tygodnika „HETI VILAGGAZDASAG” („Dziennik Gospodarcze Światowej”) naczelny komendant Urzędu Celnego, Janos Szalai, 17 tysięcy przypadków to liczba niewielka, ale wartość przemyconych towarów jest znacznie większa, niż przed laty.

W odpowiedzi na pytanie dotyczące przemytu narkotyków przez terytorium Węgier, Szalai stwierdził, że WRL leży na trasie przetrzutu narkotyków ze Środkowego i Bliskiego Wschodu do Europy Zachodniej. Zwiększa przed kilkoma laty przemytnicy starali się korzystać z tej trasy. W tym okresie władze węgierskie zarekwirowały dość znaczne ilości narkotyków. A ponieważ zauważyliśmy, że przemyt przez Węgry nie słabnie, lecz wręcz odwrotnie — nasila się — powiedzieliśmy — dokonaliśmy ostrych posunięć. Zaczęliśmy stosować różnorodne środki techniczne, odczynnikowe, chemiczne, a do służby „powołaliśmy” specjalnie przeszkolone psy. W wyniku tych działań, jak się wydaje, przemytnicy narkotyków omijają Węgry.

W dalszej części wywiadu przedstawiciel pisma zadał swemu rozmówcy następujące pytanie: Wiele mówi się o tzw. mini-rynku RWPG (popularna nazwa budapeszteńskich bazarów, na których uprawiają handel turyści z krajów socjalistycznych — przyp. kor. PAP). Zmienia tu właściciele wiele rzeczy, od groszowych, po bardzo cenne. Transakcje obejmują również walutę obcą. Ale wydaje się, jak gdyby przy dworcu Keleti i w innych miejscach spotkań handlarzy ruch się zmniejszał? Rynek ten — odpisał Szalai — został znacznie ograniczony. Nie sposób jednak całkowicie go zlikwidować i nie leży też w naszym zamiarze, by gość zagraniczny nie mógł komuś czegoś po-

darować, czy nawet sprzedać. Jesteśmy zdania, że należy jedynie likwidować, i to kategorycznie, to, co jest społecznie szkodliwe, np. gdy ktoś zajmuje się wyłącznie kupnem i sprzedażą, ciągnąc z przemytu zyski. Jestem jednakże przekonany, że większość osób na tzw. mini-rynku RWPG stanowią obywatele węgierscy. Tak więc wiele zależy od ich obywatelskiej postawy.

Z wywiadu dowiedzieliśmy się, że obecnie, po modzie na kalkulatory kieszonkowe, w przemycie panuje moda na zegarki kwarcowe. (W tym miejscu warto wspomnieć, że ten sam tygodnik doniósł, iż oficjalnie sprowadzono na Węgry zaledwie 10 tys. zegarków kwarcowych. Kilkadziesiąt tysięcy tych czasomierzy skonfiskowano na granicy i sprzedano w sklepach państwowych. A jednocześnie szacuje się, że na Węgrzech jest już około miliona zegarków kwarcowych. Tak więc poprzez legalne kanały sprzedano 50 tys. sztuk, a 950 tys. trafiło tu w drodze zakupu przez turystów węgierskich za granicą, jako podarki, zaś przytaczająca ich część została przemyciona. Zdaniem pisma, nawet w obecnej trudnej sytuacji importowej należałoby rozważyć, czy nie warto — dopóki trwa koniunktura na rynku wewnętrznym sprowadzić ten masowy już w krajach kapitalistycznych wyrób, sprzedawany po cenach reklamowych, aby korzystać z tych transakcji przy padła w udział skarbowi państwa, a nie przemycnikom — przyp. koresp. PSP). Naczelny komendant Urzędu Celnego dodał, że trudno przewidzieć, jakie artykuły z przemytu będą szlagierem w najbliższym czasie. Pewne oznaki świadczą, że mogą się nim stać techniczne wyroby z zakresu tzw. przemysłu rozrywkowego. Tak na przykład na granicy pojawiły się już aparaty zwane automatycznym partnerem szachowym. Artykuły te przedstawiają wyjątkowo dużą wartość i niektórzy Węgrzy zaczynają się już nimi interesować.

Janos Szalai powiedział także, że w ostatnich latach niewiele przybyło artykułów na liście obejmującej wyroby, których z Węgier nie można wywozić, względnie zezwala się na ich wywóz w ograniczonych ilościach. Jako przykład nowych artykułów objętych zakazem wywozu wymieniał węgierskie dywany, które ostatnio stały się bardzo poszukiwane i trzeba było ograniczyć możliwości ich wywozu. Trzeba jednak dodać — oznajmił — że na Węgrzech lista towarów, których nie można wywozić jest znacznie mniejsza od obowiązującej w innych

krajach. Tak na przykład znacznie większe ograniczenia wywozowe obowiązują w CSRS, a także w Polsce.

Na marginesie tego wywiadu, warto także zwrócić uwagę na wypowiedź, jakiej udzielił niedawno agencji MTI prokurator generalny WRL, Karoly Sziarto, stwierdzając, że obserwuje się tendencję wzrostu przestępstw i walutowych. W 1979 roku ich liczba zwiększyła się trzykrotnie w porównaniu z rokiem 1965, 2/3 przestępstw celnych dokonują obywatele węgierscy, a 1/3 obcokrajowcy. Mniejszy jest również udział cudzoziemców w przestępstwach walutowych, ale częstokroć są one groźniejsze. W ostatnich latach — podkreślił Sziarto — na Węgrzech działały także międzynarodowe bandy przemytników. Ich członkowie kłócili się przy podziale łupów, co niejednokrotnie prowadziło do popełniania przestępstw przeciw zdrowiu i życiu. Te przypadki są wyjątkowo groźne także z punktu widzenia bezpieczeństwa wewnętrznego — nie tylko przywożono do kraju nielegalnie dziny i zegarki kwarcowe, ale także przeschupiano na grunt węgierski formy przestępstw, które dotychczas były tu nieznanne. Na Węgrzech — zaakcentował Sziarto — nie ma zorganizowanego świata przestępczego. Jednakże trzeba dolożyć wszelkich starań, aby Węgry nie stały się miejscem spotkań członków międzynarodowych szajek przestępczych.

W NRD

Wydane w NRD zarządzenie, na mocy którego, poczynając od 20 czerwca 1980 roku, wszyscy obywatele NRD udający się z wizytą do Polski muszą wymienić równowartość co najmniej 200 zł (około 26 marek NRD) na każdy dzień pobytu, wywołało komentarze agencji zachodnich. Agencja REUTERS podkreśla, że podobne zarządzenie wydano w Polsce z dniem 1 czerwca br. W myśl tego zarządzenia turyści polscy, udający się do NRD, są zobowiązani do wymiany minimum 25 marek NRD na każdy dzień pobytu. Agencja zwraca uwagę na fakt, iż turyści NRD nie mają wyznaczonej górnej granicy wymiany, jak to jest w przypadku Polaków — 350 marek w ciągu roku, co ogranicza możliwość pobytu turystów polskich w NRD do maksimum 14 dni. REUTERS przypomina także ostatnie zarządzenia dotyczące za-

kupu benzyny w NRD przez turystów polskich, pisząc, iż spowodowane ono zostało wykupieniem benzyny NRD przez turystów z Polski i osób mieszkających w rejonach przygranicznych. Zarządzenie w sprawie obowiązkowej wymiany walut przy przekraczaniu granicy zahamuje sprzedaż czarnorynkową pieniądzy obu państw — pisze dalej REUTERS.

...

NRD rozwija komunikację lotniczą. Ostatnio zawarte zostało porozumienie o komunikacji lotniczej między NRD a Singapurem. Zgodnie z nim 2 razy w tygodniu samoloty singapurskiego towarzystwa będą kursować do Berlina, a samoloty „Interflug” do Singapuru. Umowa ta przewiduje, że w przyszłości zorganizowane zostaną stałe linie „Interflug” via Singapur na Filipiny, do Japonii, Indonezji i Tajlandii. Natomiast dla samolotów singapurskich Berlin ma być przygotowaniem do rejsów transatlantyckich. Tak więc w zasięgu „Interflug” znajdują się nowe obszary kuli ziemskiej. W tym kierunku najdalsza linia „Interflug” sięgała Hanoi przez Dubaj i Karaczi.

We wrześniu 1980 roku minie 25 lat od czasu, gdy wystartował pierwszy samolot „Interflug”. Do 1979 roku maszyn tego towarzystwa przewoziły ponad 15 mln pasażerów i ponad 140 tys. ton towarów. Ogółem sieć połączeń „Interflug” liczy 117 tys. kilometrów zapewniając połączenie 58 miast w 35 krajach 4 kontynentów.

Oprócz utrzymywania regularnych lotów, „Interflug” często organizuje czartery do 92 krajów Europy, Azji, Afryki i Ameryki. Samoloty NRD wiele razy już lądowały na lotniskach krajów rozwijających się z ładunkiem lekarstw, artykułów żywnościowych i innych darów społeczeństwa NRD w ramach działalności solidarnościowej. Niejednokrotnie przeloty takie organizowane są na zlecenie ONZ lub Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Oprócz lotów na trasach zagranicznych (loty w komunikacji wewnętrznej zostały zlikwidowane), zakres działalności „Interflug” obejmuje agrolotnictwo, loty szkoleniowe, przemysłowe i ratownicze oraz obsługę portów lotniczych. Warto dodać, że centralne lotnisko NRD Berlin-Schoenefeld pełni istotną rolę, jako punkt tranzytowy w połączeniach Wschód — Zachód i Północ — Południe. Krzyżują się tu linie 16 towarzystw lotniczych.

Madrzy tego świata powiadają, że żyjemy w cywilizacji śmieci. Im więcej spożywamy, tym więcej śmieci. Śmieć jednak śmieciowi nierówny. Różnice występują tak w podziale poziomym i pionowym, jak w odniesieniach historycznych i klasowych, a także w uwarunkowaniach warstwowych, środowiskowych, osobniczych.

To wcale nie kpiny. Śmieci-nikami interesują się od dawna archeolodzy i historycy, a od niedawna — socjologowie i... służby podatkowe. Jak na razie, tylko kapitalistyczne. Zatrudniają one ponoć specjalistów od śmieci, którzy wnikliwie badają ich zawartość, aby znaleźć tam dowody przeciwko podejrzanym podatnikom.

Pokaż mi, czym śmieciś, a powiem ci, jak żyjesz.

Kto wie, może i u nas bliższy jest czas, w którym urzędnicy wydziałów finansowych wertować będą nasze oświadczenia podatkowe w oparciu o nasze śmiećniki. A naukowcy będą się doktorzować — powiedzmy — komparatystycznymi badaniami zsyków na śmieci osiedli Widzew-Wschód i Retkinia-Północ.

Żyjemy w cywilizacji śmiećnika

— Przed wojną, panie, to był szajs: samo gęste i treściwe, nie to co teraz: tylko woda i papier! — mawiają fachowcy i wcale im nie do śmiechu. Po prostu, sygnalizują oni technologiczne problemy, jakie niesie za sobą cywilizacyjny postęp. Na nich przecież spadają uboczne skutki cywilizacyjnych zdobyczy. Oto dalszy ciąg wywodu:

— Jeszcze parę lat temu taki jeden z drugim szambem własny ogródek użyźniał, a teraz? Gdzie tam się będzie papral? Pójdzie do sklepu, nawóz sztuczny kupi, a do szaletni samochodów asenizacyjny wzywa. Ba, kiedyś rolnicy beczkowozami do miasta zjeżdżali i jeszcze płacili za opróżnienie stawojki.

W miarę wzrostu dobrobytu robimy się coraz wygodniejsi i rozrzućniejsi. W miarę rozwoju urządzeń komunalnych zmienia się struktura śmieci. W sumie więc śmieć jest coraz więcej, rośnie jednak nieustannie ich objętość, a maleje powoli ich waga. Dwadzieścia lat temu metr sześcienny śmieci ważył od połowy do trzech czwartych tony, dziś rzadko przekracza wagę dwustu pięćdziesięciu kilogramów.

Dawniej nie było w śmieciach papieru i szmat, szkła i tworzyw sztucznych, odpadków i obierzyn kuchennych. Była to — przede wszystkim — popiół. Naturalny produkt domowej utylizacji śmieci i odpadków.

Zmieniła nam się zawartość śmiećników

Wszyscy wiemy: taka była nasza „ziemia obiecana”. Z początkiem stulecia zastrutony dla Polski angielski inżynier W. H. Lindley opracował dla Łodzi nader nowoczesny projekt sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, doczekał się on jednak urzędywistnienia dopiero w okresie międzywojennym. Mimo to, w latach trzydziestych z urządzeń technicznych i sanitarnych korzystał mój zaledwie co dziesiąty łódzianin.

A śmieci? Łódź międzywojenna nie miała żadnego zakładu oczyszczania miasta, dopiero tuż przed wojną powstała sekcja oczyszczania placów i rynków Wydziału Gospodarczego Zarządu Miejskiego, której zasięg jednak i wydajność były znikome, podobnie jak i kilku prywatnych firm, trudniących się tym zajęciem.

Kronika Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Łodzi spisywana jest dopiero od kilku lat. Na jednej z pierwszych stron kroniki stara fotografia: długi szereg koni po ciągowych, zaprzężonych do wozów i roliwag. A przy koniach — wozacy, okutani w śmieśnię — dziś stroje, uśmiechający się zawiadawcy spod swych kłapiastych pilotów, pozujący do zdjęcia z autentyczną dumą, rozpięci na ich z racji tak licznej i nowoczesnej sprzętu i taboru. To już historia.

Historia, która rozpoczyna fotokopia „Dziennika Zarządu Miejskiego w Łodzi” nr 1 z 15 lipca 1945 roku, zawierającego

uchwałę nr 13 o powołaniu Zakładu Oczyszczania Miasta.

Zakład zorganizowano

na terenie byłego getta w pomieszczeniach przedwojennej rzeźni miejskiej przy ul. Łagiewnickiej 63. Pół setki pracowników otrzymało do dyspozycji dwie zdewastowane śmieciarki typu „Mercedes” oraz dwa samochody asenizacyjne, czternaście wozów, cztery beczki asenizacyjne bez pomp i trzydzieści sześć koni. Start więc od przysłowiowego zera w półmilionowym mieście. W pierwszym zresztą roku zakład objął zaledwie 179 posesji wywozem nieczystości stałych i 82 posesje — nieczystości płynnych, usuwając ich w sumie niewiele ponad 20 tys. m sześć.

Te skromne początki przedsiębiorstwa doskonale pamiętają jego najstarsi pracownicy: Wanda Wojciechowska z administracji, tapicer Józef Martynowski, Jan Bieniek, Czesław Nowak i Jerzy Pawliarczyk — monterzy samochodów.

W rok później liczba pracowników podwaja się, a zakład wywozi już 115 tys. m sześć śmieci z 1864 nieruchomości. Rozmiary usług na rzecz miasta zwiększają się z roku na rok. Powiększa się też załoga, przybywa również i taboru. Głównie konnego, aczkolwiek w 1949 roku zakład otrzymuje z demobilu samochody marki „Chevrolet” i „Dodge”. Jest ich w sumie już 55, dorównują więc ilością koniom pociągowym. Zmieniają się też często — z początku bardzo — dyrektorzy: Zygmunt Szkudlarek, Zygmunt Wróblewski, Zenon Saganowski, Eugeniusz Adamczyk, Wacław Maciak, Zdzisław Mróz.

W 1950 roku zakład — liczący już 455 pracowników — rozpoczyna budowę biurowca przy ul. Tokarskiego 2. W 1951 r. zmienia nazwę na Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania w Łodzi. W 1952 podejmuje pracę na dwie zmiany. W 1953 otrzymuje pierwsze samochody na podwoziu „Stara 20”. W 1954 zbliża się do pół miliona metrów sześciennych wywiezionych śmieci. W 1955 wprowadza po raz pierwszy współzawodnictwo pracy, które wygrywa zespół Wacława Bieguna i bratanka Władysława Jatozaka. W 1956 odczuwalnie już zmieniają się proporcje w taborze: 38 koni i 87 samochodów. W 1957 przedsiębiorstwo instaluje w Łodzi pierwszy 1970 pojemnik na śmieci „SM-110” z przędziół centralnych. W 1958 wprowadza na stałe codzienne zmywanie i polewanie placów i ulic w okresie letnim. W 1958 posługuje się już 42 tysiącami puszek na śmieci, umieszczonych w 32 rejonach oczyszczania.

W 1961 roku zwolniony zostaje „z posady” ostatni koń

W 1962 przedsiębiorstwo otrzymuje pierwsze dwie zamiatarki samochodowe „Gaz-51”. W 1966 rozpoczyna się rozbudowa głównej bazy przy ul. Tokarskiego: wyburzone zostają stare warsztaty, na których miejscu powstaje nowoczesne zaplecze techniczne. W 1967 uruchomione zostają garaże, magazyny, stacja energetyczna, stacja paliw i budynek socjalny.

W 1970 przerób przedsiębiorstwa osiąga 60 mln zł, zaś objętość wywiezionych nieczystości stałych — 529 tys. m sześć. W 1972 załoga „dorabia się” własnego ośrodka czasowego w Świbnie. W 1973 wprowadzone zostają pierwsze plastikowe pojemniki na śmieci, i pierwsze samochody typu „Bóbr”. W 1975 załoga liczy już 968 osób, tabor — 288 samochodów, a objętość wywiezionych śmieci — 678 tys. m sześć. W 1976 przedsiębiorstwo przechodzi na system WOG, sprzedając produkcję i usługi za 100 mln zł. W 1979 oddana zostaje do użytku baza przy ul. Podmiejskiej i uruchomione zlewnie ścieków przy ul. Drenowskiej i ul. Białoskiej.

Telegraficzny skrót w niewielkim tylko procencie obrazuje rozwój przedsiębiorstwa, którego codzienna działalność tak ściśle sprężyniła jest z powszednim życiem miasta, z naszą cywilizacją śmiećnika.

Zostawiając historię

przechodzimy do teraźniejszości.



Foto: R. Łucyszyn

JACEK INDELAK

CYWILIZACJA ŚMIEĆNIKA

ci, o której mówi obecny, wieloletni już dyrektor MPO, Stefan Spryszyński:

— Siegnijmy do danych, z którymi weszliśmy w obecny rok. Sprzedaż produktów i usług osiągnęła 174 mln zł. Wywóz nieczystości stałych — 966 tys. m sześć, płynnych — 337 tys. m sześć. Oczyszczanie ulic i placów: ręczne — 314 tys. m kw, a mechaniczne — ponad 3 mln m kw. Polewanie — ponad 1 mln m kw. Odsiarczanie — 4 mln m kw. W całym mieście obsługujemy 66 tys. pojemników. Dysponujemy 306 samochodami, w tym 83 śmieciarkami bezpylnymi, 48 zamiatakami, 44 wozami asenizacyjnymi i 34 polewarkami.

— Przedsiębiorstwo zatrudnia 957 osób — uzupełnia sekretarz organizacji partyjnej, Zygmunt Szmidtowski — w tym 893 pracowników na stanowiskach robotniczych. Załoga jest dzielna i ofiarna, bo cóż innego można powiedzieć o ludziach, którzy wykonują tak ciężkie, uciążliwe, niewdzięczne prace. Fluktuacja, zwłaszcza w grupach najmniej kwalifikowanych, jest spora.

Wiele też problemów ma przedsiębiorstwo z naboorem młodej kadry. W zasadzie drzwi u nas przed każdym są otwarte: nie pytamy, skąd przychodzi, co przedtem robił, byle tylko chciał dobrze pracować. Mimo dużego postępu technicznego, rozwoju mechanizacji — wciąż wiele czynności wykonuje się u nas metodami prymitywnymi. Dlatego też wiele trzeba mieć samozaparcia, dobrej woli i szczerých chęci, żeby wykonywać swoje obowiązki.

Gastarbeiterów jeszcze się nie dorobił. Na naszym rodzym rynku pracy ciągle więcej wolnych miejsc, niż chętnych do roboty. Za te same pieniądze dostać można gdzieś indziej pracę cięższą i czystsza, a do tego wolną od wzgardliwych etykietek „śmieciarza”. Tym zresztą trudniej o pracowników dla MPO, że uciążliwość tej służby spada na wszystkich pracowników, niezależnie od specjalności i stanowiska. Jeśli się nawet pracuje w bazie technicznej w charakterze mechanika czy monter, to i tak babrać się trzeba w tym samym brudzie i smrodzie.

Pieska to więc robota, ciężka i trudna

Pokutują naprawdę legendy o krocowych zarobkach, jakie są domową brzydą, obsługujących śmieciarki i wozących nieczystości na wysypiska. Legendy te, niestety, są przesza-

prawiane. MPO zaś naprawia je. bo na nowe nie może liczyć.

I tak koło się zamyka

Operatywne zaplecze remontowe przedsiębiorstwa łagodzi — często ogromnym wysiłkiem — niedobory, występujące w tej dziedzinie naszej gospodarki. Tabor i sprzęt — latane niestannie, ciągle naprawiane i poprawiane — jakoś funkcjonują. Mieszkańcy miasta rzadko miewają okazję, aby odczuć negatywne skutki codziennych zmagani z niedoskonałą techniką, co można chyba poczytać za duży sukces całej załogi MPO.

Mówi się często o funkcjonowaniu na styku wydolności czy możliwości. W takiej właśnie sytuacji znalazły się nasze służby czystościowe — tak pod względem kadrowym, jak organizacyjnym i technicznym. Nawalą śmieci nie da się powstrzymać, ani ograniczyć. Nie dać się zasypać przez śmieci, to znaczy — nieustannie rozwijać środki do ich zwalczania.

Na szczęście, przyrost ilości śmieci i odpadów nie przebiega w katastroficznym tempie, lecz dokonuje się na tyle wolno, że jesteśmy w stanie się z nim uporać. Pod warunkiem, oczywiście, systematycznego postępu, a nie regresu, który mógłby przynieść optakane konsekwencje.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby realistyczna ocena sytuacji do końca rodziła umiarkowany optymizm. Niestety, tak nie jest.

Perspektywy są mniej radosne

Dziś problemem numer jeden nie jest już pytanie, jak i czym, lecz — gdzie wywozić śmieci? Łódź kompletnie się nam już zapchała. W tym roku zasypywać trzeba będzie wysypisko w Kaloncie, kończy się też nieodwołalnie wysypisko na Józefowie, które w najlepszym razie wytrzyma jeszcze rok. A potem?

— Co dalej? — wyjaśnia z-ca dyr. MPO, Jerzy Podczaski. — Otrzymałmy lokalizację nowego wysypiska. Władze województwa wyznaczyły na ten cel teren w miejscowości Pałczew. Ponad dwadzieścia kilometrów na południe od miasta! I w tym tkwi ogromne zagrożenie dla sprawności funkcjonowania naszego przedsiębiorstwa. Pokonywanie tej odległości wymaga dwukrotnie dłuższego taboru samochodowego, a także odpowiedniego zwiększenia ilości sprzętu i liczby pracowników. W obecnej sytuacji nie wydaje nam się to możliwym.

Dyrekcja przedsiębiorstwa daleka jest od przyszłowiego rozdierania szat, aczkolwiek nie ukrywa szczerzego niepokoju. Jest bowiem o co się martwić.

Ilość śmieci wzrasta w postępie geometrycznym

Roczna ich „porcja”, przypadająca na jednego łódzianina, podwoiła się w ciągu ostatnich siedmiu lat, przedtem zaś — potrzeba było na to ponad piętnastu lat. Uruchomienie Pałczewa — to kolejne podwojenie zadań MPO. Tym groźniejsze, że dokonuje się z dnia na dzień.

Jest wprawdzie rozwiązanie kompromisowe: wybudowanie w Łodzi stacji przeładunkowej, która załagodziłaby skutki tak odległej lokalizacji wysypiska. Nie ma jednak jeszcze w tej sprawie żadnej decyzji. A zwiększać już dłużej nie można. Jeśli mamy stawić czoło tej nowej barierze, już dziś musimy się do tego przygotować. Niestety, na budowę rzecz się nie kończy. MPO nie dysponuje dziś ani odpowiednio wydajnymi prasami do zgniatacia śmieci, ani nadajacymi się do tego celu kontenerami, ani też wreszcie — samochodami o wielkiej ładowności, które mogłyby stworzyć sprawny i skuteczny pomost między stacją a wysypiskiem. Czy przedsiębiorstwo może liczyć na takie doposażenie? Chyba nie: takie decyzje leżą już w zasadzie poza kompetencjami miejscowych władz.

Zażalenie jest więc realne. Trudno decydować w sprawie Pałczewa uważać za ostatecz-

na, o ile nie towarzyszą jej bardziej kompleksowe koncepcje rozwiązania problemu.

Kto wie, czy nie warto — na przykład — wrócić do zarzuconych przed laty koncepcji unieszkodliwiania śmieci i odpadów drogą ich maksymalnej utylizacji.

W 1961 roku po raz pierwszy w Łodzi zakompostowano 6850 m sześć nieczystości stałych. Eksperyment wypadł pomyślnie: naukowcy uznali dużą przydatność kompostu ze śmieci dla rolnictwa i ogrodnictwa. Dlaczego prób tych zaniechano? Gdybyśmy je kontynuowali, dziś — po dwudziestu latach — przynosiłyby one zapewne konkretne korzyści.

Czy jesteśmy aż tak bogaci, aby lekceważyć możliwość uzyskania „czegoś z czegoś”? Przecież nie. Żyjemy w dobie, w której nakazem chwili stała się oszczędność i efektywność gospodarowania.

Znamienne, że wiele wysoko rozwiniętych krajów — które stać przecież na rozrzutność — sprawę odzysku surowców wtórnych doprowadziło do perfekcji. Opowiadano mi — na przykład — o szwedzkich zakładach oczyszczania, które są niczym innym, jak nowoczesnymi fabrykami „czegoś z czegoś”. Cała masa urządzeń do segregacji odpadów wydobywa ze śmieci wszystko, co może stanowić dla przemysłu lub rolnictwa znikomą nawet wartość. Cała zaś — niewiele ponad 10 proc. — reszta zgniatana jest w brykiety o rozmiarach pudełka zapalek, przesycone olejem opałowym, a mające wartość kaloryczną nie mniejszą od węgla. W brykiety te zaopatrywane są tak zakłady i instytucje, jak i odbiorycy indywidualni.

Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej w Poznaniu prowadzi od lat prace projektowe, zmierzające do stworzenia w naszym kraju sieci zakładów odzysku surowców wtórnych ze śmieci. Modelowy zakład tego typu wyposażony powinien być w separator balistyczny i inne urządzenia, pozwalające na segregację śmieci, prowadzącą do odzysku metali, szkła, tworzyw sztucznych, makulatury i szmat oraz części organicznych, przetwarzanych w kompostowni na naturalny nawóz. Zaledwie jedna piąta całej masy śmieci, przepuszczonych przez taki zakład, trafiłaby na wysypisko, ale w postaci — popiołu.

Skoro o popiele mowa

nie dalej, jak w Bratysławie, oglądać można miejską spalarnię śmieci, która zasila energią cieplną kilka sporých jednostek gospodarczych. Jest to, oczywiście, minimalistyczny wariant programu utylizacji śmieci. Ale jest. Śmieci dzieki niemu przestają być przekleństwem.

Puśćmy tu wodze fantazji i wyobraźmy sobie, gdzieś na Józefowie, pierścień ogrodniczych szklarni, otaczających małą spalarnię i kompostownię śmieci. A przecież to tylko jedna z wielu — nie tak znów skomplikowanych i kosztownych — możliwości, nad którymi warto podyskutować w gronie fachowców.

Żyjemy w świecie cywilizacji śmiećnika

który kryje w sobie coraz więcej bogactw. Selekcja oraz segregacja śmieci, a w efekcie odzysk surowców wtórnych — nie powinny być traktowane jako utopia, na której urzędywistnienie absolutnie nas nie stać.

Kilkudziesięciu czy nawet kilkuset zbieraczy makulatury, szmat, szkła i metali nie powinno też stanowić powodu do popadania w samouspokojenie. Ich codzienny pożyteczny trud uchroni przecież przed zmarowaniem znikomy zaledwie ułamek bogactw naszego śmiećnika.

Samo życie domaga się kompleksowego rozwiązania problemu oczyszczania miasta. Przed łódzkim MPO otwiera się nowy całkiem rozdział jego bogatej historii. I rozdział ten nie musi być wcale pesymistyczny czy wręcz katastroficzny. Wręcz przeciwnie, charakteryzować się powinien jeszcze większymi pożytkami dla miasta i społeczeństwa, płynącymi z pełnienia tej niewdzięcznej, ale jak bardzo potrzebnej służby.

Dalszy ciąg ze str. 1

HANDEL I KOMUNIKACJA

„ODGŁOSY” — Zaczniemy może od tego, co na ogół nam najbardziej doskwiera, od spraw handlu i komunikacji. Z tego to bowiem powodu, chyba najbardziej nie lubimy wolnych sobót.

J. MORACZEWSKA — Ja tam wolne soboty lubię. Na ogół zawsze wyjeżdżamy na ten czas do rodziny. Komunikacja nie jest najlepsza. W tramwaju tłok. Autobus często się spóźnia. Kiedyś tramwaj do Ożorkowa chodził co 40 minut, teraz co godzinę, to nie ułatwia komunikacji. Ale jeżdżimy. Zawsze przez dwa dni jesteśmy na powietrzu. A to się liczy.

CZ. URBAN — W szkole nie ma wolnych sobót. Szkoły pracują różnie, nie tylko przed południem lub tylko po południu. W piątek w sklepach tłok, kolejki. Trudno coś dostać. W sobotę natomiast sklepy są czynne tylko w czasie, kiedy szkoły pracują. Nie ułatwia nam to życia. My przecież też mamy rodziny i musimy się o nie zatroszczyć. A niejednokrotnie tak bywa, że mąż ma wolną sobotę, żona nie ma.

J. MORACZEWSKA — U mnie też się tak zdarza. Jak załoga planu nie zrobi, to nie dostaje wolnej soboty. Ale jakoś sobie pomagamy. Jak mąż nie ma wolnego, to ja z dziećmi jadę wcześniej, a mąż później dojeżdża, albo robimy odwrotnie. Ale zawsze staramy się wyjechać.

CZ. URBAN — Ale inni zostają w domu.

W. CHRZANOWSKI — A inni jeszcze pracują.

J. NOWAK — Najlepiej byłoby, aby wszystkie soboty były wolne, wtedy nie byłoby z

my, bo wożenie pasażerów jest jednak ważniejsze.

Komunikacja jest taka, jaka jest. Będzie inna, kiedy będziemy dysponowali lepszym taborem.

I. ŻYDEK — Ale ludzie muszą jeździć i w wolne soboty. Tym bardziej, że na ogół wówczas najlepiej funkcjonuje handel w śródmieściu. W obrzeżnych osiedlach sklepy są pozamykane. Jeśli więc ktoś coś musi kupić, jedzie do śródmieścia. I to dodatkowo obciąża komunikację miejską.

W. CHRZANOWSKI — W tym czasie przyjeżdżają również ludzie spoza Łodzi do miasta, aby spokojnie sobie coś kupić.

I. ŻYDEK — Spokojnie to oni nie kupią, bo tłok wtedy jest niemożliwy. Ja w ogóle na przykład uważam, że w wolne soboty powinny być otwarte sklepy z artykułami przemysłowymi. Kiedyś tak bywało. W taki dzień można wybrać się całą rodziną po zakupy.

J. NOWAK — „Central” i inne domy towarowe są codziennie otwarte do godziny 20. Po południu można wybrać się też po zakupy i nie trzeba z tym czekać do wolnej soboty. Są zresztą kraje, gdzie co tydzień jest wolna sobota i co sobota sklepy są pozamykane i ludzie jakoś na to nie narzekają.

„ODGŁOSY” — To trochę inna sytuacja. Tam już wytworzył się inny system zaopatrywania się w sklepach. Robi się to raz na dłuższy czas, ale aby taki system mógł się ukształtować musi istnieć inny stan zaopatrzenia na rynku. A na to musimy niestety poczekać.

CI, KTÓRZY POZOSTAJĄ W DOMU

I. ŻYDEK — Nie wszyscy jednak mogą lub chcą wyje-

starzyć zaświadczenie rodziców.

J. NOWAK — A co robić, jak szczykuje się nam wyjazd, a dziecka nie ma z kim zostawić? Piszę wtedy usprawiedliwienie i biorę dziecko. Z pożytkiem mu będzie, jak sobie pooddycham świeżym powietrzem.

„ODGŁOSY” — I gdzie państwo najczęściej spędzacie wolny czas na powietrzu?

J. NOWAK — W każdym razie nie na Zdroju, bo tam jest strasznie tłoczno i to żaden wypoczynek. Na ogół, albo jeżdżymy gdzieś dalej, albo szukamy ustronnego miejsca w mieście.

„ODGŁOSY” — A ośrodki wypoczynkowe?

I. ŻYDEK — My organizujemy różne imprezy na Stawach Jana. To się na ogół udaje. Ale przy okazji obserwuję, że ludzie bardzo szukają jakichś prostych boisk, miejsc, w których byłoby dwa słupki aby można było rozpiąć siatkę i pograć w piłkę. Ludzie po prostu tęsknią za ruchem. A możliwości mają mało.

W. CHRZANOWSKI — Ja czasem wybieram się do Arturówka, ale tam też jest tłoczno. „Fala” jest właściwie zbudowanym kąpieliskiem, ale jest tylko jedna. W Arturówku nie ma gdzie się rozłożyć. Z jedzeniem i napojami też różnie bywa.

J. NOWAK — I z komunikacją.

J. MORACZEWSKA — Gdyby w tym czasie, kiedy ludzie wyjeżdżają z miasta lub wracają więcej kursowało tramwajów i autobusów, to tłok byłby mniejszy i wygodniej by się jeździło.

W. CHRZANOWSKI — Tylko skąd je wziąć?

PRZED TELEWIZOREM

„ODGŁOSY” — Są też zwolennicy spędzania wolnych sobót przed telewizorem.

lewizja wpadła na fatalny pomysł i jednocześnie w obu programach nadaje atrakcyjne audycje, na przykład transmisję z meczu i western. W domu robi się awantura, jedni chcą oglądać mecz, inni film, a telewizor jest jeden. Czy nie można tego rozwiązać jednak inaczej? To tak na marginesie naszej dyskusji. Ale kiedy na dworze pada deszcz i człowiek musi zostać w domu, wtedy chciałby popatrzyć na coś wesołego, pośmiać się trochę, rozzerwać, posłuchać dobrej muzyki, a tu tylko ciągłe dyskusje, pouczają, gadają.

J. NOWAK — Zgadza się z tym. Rzeczywiście w telewizji za dużo jest gadania.

„ODGŁOSY” — Ale w telewizji też pracują, gdy my mamy wolną sobotę.

CZY MOŻE BYĆ JEDNOCZEŚNIE DLA WSZYSTKICH

J. NOWAK — Tak to już musi być, że kiedy jedni wypoczywają, drudzy muszą pracować. W handlu na przykład, w gastronomii, w komunikacji, w kulturze.

„ODGŁOSY” — Ale czy wolniej soboty nie mogłyby mieć szkoły? Byłoby to niewątpliwie ułatwienie dla nauczycieli i dla rodziców.

I. ŻYDEK — Czy dla rodziców? Ja jestem zadowolona, kiedy dzieć się w wolną sobotę w szkole, bo jestem o nie spokojna. Ja nie mam wolnych sobót w ogóle, bo jak tu ktoś powiedział, aby jedni mogli wypoczywać, inni muszą dla nich pracować. I my organizujemy dla wypoczywających różne imprezy. Więc jakby mi w wolną sobotę zwał się jeszcze na głowę kłopot z dziećmi, które nie poszły tego dnia do szkoły, to wcale by mnie to nie zachwyciło.

J. NOWAK — Ja też się muszę przyznać, że wolę, kiedy w wolną sobotę, jak zostaje w domu, dzieć się w szkole.

CZ. URBAN — Ale kiedy pani wyjeżdża zabiera dzieć ze sobą. I tak robią inni rodzice. W szkole mamy wtedy małą frekwencję, nie możemy na leżycie przerabiał program, bo część dzieć będzie miała braki. Powstaje zamieszanie, które, ani nam nie ułatwia pracy w szkole, ani życia w domu i rodzinie. Na ogół uważamy wolne soboty za czas stracony.

„ODGŁOSY” — A co mówi się na ten temat w środowisku nauczycielskim?

CZ. URBAN — Oficjalnie na ten temat nie dyskutuje się. Panuje wręcz przekonanie, że szkoła nie będzie miała w ogóle wolnych sobót.

„ODGŁOSY” — Czym jest to uzasadnione?

CZ. URBAN — Trudno mi powiedzieć, gdyż — jak już powiedziałam — oficjalnie na ten temat nie mówi się. Prawdopodobnie chodzi o to, że nie zrealizowalibyśmy wówczas programu. Ale uważamy, że można byłoby wakacje skrócić o te wolne soboty i byłoby to z większym pożytkiem również i dla młodzieży.

No, a co będzie, kiedy wszystkie soboty będą wolne, bo przecież do takiego modelu dążymy? Czy my też będziemy wówczas pracowali? Zupełnie sobie tego nie wyobrażam.

„ODGŁOSY” — Może jeszcze nie tak szybko, ale w końcu dojdziemy kiedyś do tego, że będziemy mieli wszystkie wolne soboty. Jak państwo sobie wyobrażają taki idealny model wolnej soboty?

W. CHRZANOWSKI — Dla mnie takim ideałem byłaby możliwość wypoczywania na powietrzu. I latem i zimą. Ale, żeby to był wypoczynek, to musi być i dobra komunikacja i żeby było tam coś do zjedzenia, dobra muzyka. I żeby nie było tłoku.

I. ŻYDEK — To nie może być jeden model, jeden wzór, bo każdy chce inaczej wypoczywać i to nie zawsze tak samo. Musi być zatem różnorodność. I taką różnorodną propozycję trzeba prezentować wszędzie wtedy, kiedy jedzie się z fabryki gdzieś na powietrze, jak i wówczas, kiedy przygotowuje się coś dla tych, którzy zostali w mieście. Na przykład, kiedy jedziemy nad wodę, to żeby można było się tam wykąpać, połapać ryby, może wybrać się na grzyby, gdyby las był blisko, ale żeby też mężczyźni nie stracili swojej uko-

chanej transmisji z bardzo ważnego meczu i żeby wszyscy razem mogli wrócić do domu zakładowym autobusem. Tak to sobie wyobrażam.

W. CHRZANOWSKI — Te-



zrobić, gdyż musi się tym zajmować wiele różnych instytucji, ale w dużym mieście jest znacznie więcej możliwości instytucjonalnych, jak na przykład teatr, kino, dyskoteki, domy kultury, pozostaje więc kwestia wyboru, umiejętności korzystania z tego, co przygotowano ludziom na czas wolny.

J. NOWAK — Możliwości są różne, może my jeszcze nie umiemy z tego korzystać. U nas na przykład druga zmiana była w ostatnią wolną sobotę na wycieczkę w Warszawie. Pewnie, że nie zawsze można organizować tylko wycieczki, ale coś się robi. Chyba wszyscy szukamy razem tego modelu wolnej soboty.

Czasem zastanawiam się nad tym, czy nie byłoby lepiej, gdyby więcej wolnych sobót było latem. Wtedy jest więcej możliwości spędzenia wolnego czasu, choćby z pożytkiem dla zdrowia.

J. MORACZEWSKA — To może byłoby i dobre, ale nie tak, aby zimą też nic nie było. Latem dzieć dłużej mogą być na powietrzu. Częściej można z nimi wyjechać.

W. CHRZANOWSKI — Dla mnie nie jest to dobry pomysł. Zimą ludzie też chcą odpoczywać. Tylko nie wszyscy umiemy. Może i rzeczywiście zimą trudniej. Ale ludzie jeżdżą na narty na przykład do Smardzewa, czy do Malinki i są bardzo zadowoleni, że mogą sobie pobyć na świeżym powietrzu, zająć trochę ruchu. Więc nie wiem, czy byłoby lepiej, gdyby część wolnego czasu w soboty akurat skomasować w

letnim okresie. Uważam, że byłoby gorzej.

„ODGŁOSY” — Chyba dziś nie dojdziemy do żadnych wiążących wniosków i dobrze. W końcu to nie nasza rola i nie nasze zadanie. Tę garść uwag, jakie tu padły w związku z organizacją wolnego czasu w soboty, przyjmajmy chyba z zainteresowaniem ci, którzy o tej organizacji decydują.

Pozostało odpowiedzieć jeszcze na tytułowe pytanie: wprowadzić do dyskusji o wolnych sobotach mieli dać tę odpowiedź, ale nie wszyscy się zdecydowali.

Czy lubimy wolne soboty? Jak wynika z dyskusji — raczej TAK, choć podchodzimy do tego nie tyle emocjonalnie, co racjonalnie. Denerwuje nas bowiem jeszcze więcej, denerwuje wszystko to, co przeszkadza w odpoczynku. I to jest naturalne.

Z naszej dyskusji wynika, że życie narzucało nam taki model wolnej soboty, w którym jedni będą wypoczywać, inni muszą jednak pracować, odbierając sobie swój wolny czas w innym terminie. Taki model powoli się wykształca i — jak się dobrze przyjrzyć — leży on w sferze pragnień i zainteresowań nas wszystkich. Nawet ci, którzy muszą pracować w niektóre wolne soboty, uważają, że nie może być tak, aby wszystko było zamknięte i człowiek był skazany tylko na samego siebie. Tego chyba nikt nie chce.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

Foto: R. Łucyszyn

CZY PAŃSTWO LUBICIE WOLNE SOBOTY?

tym tyle kłopotu. Ja zresztą na wolne soboty patrzę z różnych punktów. Bywa, że pracuję i bywa, że mam wolne. „Central” czynny jest na dwie zmiany, jak więc przypada wolna sobota, to jedna zmiana pracuje, a druga ma wolne. I nie ma z tym kłopotu.

Ala sama też się muszę zaopatrywać, robić zakupy, dbać o dom. Najchętniej chciałabym wyjechać na miasto, gdzieś na powietrze, bo nam bardzo potrzebne jest świeże powietrze. Tylko, że nie zawsze mogę. Spędzam więc wolne soboty w domu i wtedy wiem, ile to czasu zabiera robienie zakupów. Pojęcie wolnego czasu traci wtedy swój sens.

W. CHRZANOWSKI — My w ogóle nie wiemy, co to jest wolna sobota. Wtedy musimy wozić ludzi, tak jak w niedzielę i święta. Jedni chcą odpoczywać, a inni muszą dla nich pracować.

Przyznam się, że kiedy sam stoję na przystanku i czekam na tramwaj lub autobus, to diabli mnie biorą. Ale ja wiem, dlaczego tak jest. Wiele już na ten temat pisano, mówiono w telewizji. Nie mamy taboru, części zamiennych. Wszystko, co zdolne do ruchu musi iść na trasę.

Chcieliśmy w ZSMP zrobić wycieczkę do Poznania na targi. Inicjatywa pozytywna. Zwróciliśmy się z prośbą do dyrektora, aby dał nam autobus. Ale dyrektor zapytał nas, skąd go wziąć. Nie pojechaliś-

chać na dwa wolne dni. I dla nich też coś trzeba w mieście zorganizować. Próbowaliśmy robić różne imprezy w wolne soboty. Nic nam z tego nie wyszło. Dlaczego? Kiedy pracowałam w Krakowie, szukaliśmy na ten temat odpowiedzi. I okazało się, że wiele kobiet przeznacza wolne soboty na załatwianie różnych spraw gospodarskich, które im narastają w ciągu tygodnia. Dlatego teraz wszelkie imprezy przenosimy na niedzielę. Imprezy na wolnym powietrzu również jeśli pozwala na to pogoda. A ostatnio jakoś nie pozwala.

J. MORACZEWSKA — Ja na ogół staram się tak sobie pracę rozkładać, aby wszystko zrobić wcześniej i aby wolna sobota była rzeczywiście wolna. A nie mam znów tak lekko, bo oboje pracujemy, w domu jest ciężko chora babcia i dzieć są jeszcze przed przedszkolem.

J. NOWAK — U mnie to bywa różnie. Na ogół staramy się wyjechać. Ale czasem trzeba zostać w domu i coś zrobić.

CZ. URBAN — My to najlepiej widzimy w szkole. Jak rodzice wyjeżdżają, to zabierają ze sobą dzieć nie licząc się z tym, że szkoła pracuje. Jak zostają w domu, to i dzieć przychodzą do szkoły.

I. ŻYDEK — Szkoła specjalnie nie stawia temu przeszkód. Kiedyś zwolnił dziecko od zajęć szkolnych można było tylko na podstawie lekarskiego zaświadczenia. Dłż wy-

I. ŻYDEK — Z moich obserwacji wynika, że ludzie są już jakby trochę zmęczeni telewizją.

W. CHRZANOWSKI — Poza tym program nie jest wcale taki ciekawy. Na początku „Studio 2” było bardzo interesujące. Teraz pogorszyło się. Pewnie zmęczyli się wymyslaniem atrakcyjnych programów.

I. ŻYDEK — To jest sprawa względna. Co dla jednego jest atrakcyjne, dla innego nieciekawie. Ja na przykład nie oglądam transmisji meczów piłkarskich. Mężczyzn w tym czasie i siłą sprzed telewizora się nie odciągnie. To samo z niektórymi filmami. Dzieć gotowe są siedzieć całymi godzinami przed telewizorami, choć też narzekają na program. Ukształtowało się chyba takie przyzwyczajenie.

Ala z drugiej strony — jak już powiedziałam — coraz częściej ludzie zaczynają obok telewizji szukać czegoś innego. Ja na przykład obserwuję w naszej pracy kulturalnej coraz żywsze zainteresowanie żywym słowem, kontaktem z aktorem, piosenkarką.

Kiedy jednak planuję jakąś imprezę, najpierw biorę do ręki gazetę i ustaliam czas tak, aby nie kolidowało to z emisją popularnego programu. Impreza musi się zaczynać lub kończyć o takiej porze, aby ludzie mieli jeszcze czas pójść do domu na „Pogodę dla bogaczy”, albo na coś innego.

W. CHRZANOWSKI — Te-

Dalszy ciąg ze str. 1

Pamiętam rozmowy, które prowadziłem z mieszkańcami tej wsi, przypominającej długą, kwitnącą ulicę. Młodzi wypatrywali zbliżającego się miasta z niecierpliwością, starsi z trwogą. Jednym uśmiechały się autobusy i tramwaje, drugich przerażał coraz intensywniejszy hałas. Ktoś martwił się, że utraci dom z ogródkiem, ktoś się cieszył, że zamieszka w nowoczesnym wieżowcu z tak zwanymi wygodami.

Ano, niepostrzeżenie, bez fanfar i żałobnych dzwonów, wioska została pożarta przez miasto. Znikły tabliczki z napisem: ulica Balonowa, pokazały się inne, adekwatne do przemian, tabliczki: *Ginekolog — Naprawa telewizorów — Krawiectwo damskie i męskie — Tłumacz przysięgły*. W miejsce zieleni położono asfalt i beton, który posunął się tak daleko, że mógłby po drodze wchłonąć jeszcze dwieście lub trzysta takich wsi, jak Balonowa.

Swoją drogą — dobrze, że kiedyś o tej wiosce napisałem, rejestrując jej ostatnie lata. Dobrze również, że teraz, gorącego czerwcowego przedpołudnia, udało mi się w rozpalonym, betonowym morzu bloków, w środku ogromnej i ludnej dzielnicy, odnaleźć jej ginący ślad.

Liczę skrupulatnie to, co zostało. Po stronie parzystej cztery zaledwie obiekty z numerami 46, 44, 42 i 40. Po nieparzystej — sześć: 45, 43, 41, 35, 33, 31. Wzdłuż wioski biegnie teraz szeroka, hałaśliwa arteria (Kusocińskiego), która przetaczają się wszystkie rekinie autobusy i tysiące aut. Z dwóch innych stron, prostopadłe, zamyka Balonową ulica Retkińska i ulica Dzierżyńskiego. Od północnego zachodu natomiast podjeżdżają już pod wioskę dźwigi i buldożery.

Wchodzę do jednego z tych obiektów, jakże kontrastujących z wielkomiejskim otoczeniem. Kobieta, do której się zwracam, trzyma w ręku duży, zardzewiały młotek. Spodziewam się niechętnego przyjęcia, ale jest miła i uprzejma.

— Ano — mówi — nie ma już naszej Balonowej.

— Żal chyba pani troszeczkę?

— Nie. Teraz już nie. Człowiek by chciał, żeby to się wreszcie skończyło na dobre, żeby nas przeprowadzili do bloków.

— I wytrzyma pani w blokach?

— Chyba tak. Tylko, wie pan, chodzi o to, żeby nas tu umieścili gdzieś blisko, na terenach które znamy.

Nazywa się Helena Just i zamieszkuje wraz z mężem, dziećmi i wnukami niewielki domek pod numerem 45. Oprócz domu jest tam jeszcze stara, stuletnia stodoła, z której huragan zerwał niedawno dach oraz obora, kurniki i piwnice.

Na sznurach rozwieszonych między drzewami trzepocze pranie i wietrzą się koldry. Środkiem podwórka maszeruje orszak kaczuśzek. Są także kury waleśjące się pod plotem, pies drzemający na ganku i kot zaglądający ciekawie do opuszczonej stodoły.

— Te żółte kaczuśki, to nasze, polskie — powiada w zadumie Helena Just — a te ciemnymi cętkami na skrzydłach są podobno francuskie. Kaczka jest spokojna, a kaczor umie fruwać i rozbija się na dachach. I w ogóle jest zły — zdeptał po urodzeniu wiele tych francuskich kaczuśzek, bo miały trochę inne dziobki.

— Pani bardzo lubi zwierzęta?

**NIERAZ
JESZCZE
ZAPIEJĄ
KOGUTY**

— Ja, to może nie. Ale najgorzej jest z mężem. Mąż, proszę pana, kocha konie. Nie ma dnia, choćby i wypił, żeby nie zajrzał do koni i nie wypuścił ich trochę na wybieg. Co roku przybywa nam, proszę pana, jeden żredek i jak go trzeba sprzedać, bo tu przecież nie ma miejsca, aby hodować parę sztuk, to mąż jest bardzo smutny i zaraz prowadzi kobyłę do ogiera, żeby za rok ośrebiła się znowu.

— Ale tych koni, to wy chyba tutaj nie trzymacie?

— No, jakżeż nie! Chce pan zobaczyć?

Wprowadza mnie do niewielkiej ni to obory, ni stajni i oto w środku ogromnego miasta widzę dużą, dorodną kobyłę, zawiadującą i bębniącą niską powalę budynku, a pod nią, na słomie, wylęgające się paromiesiecznego konika.

Na krzyk gospodyni żrebiatko podnosi się niechętnie, a potem, zaskakując nas kompletnie, rusza z kopyta do drzwi. Wywołuje to spodziewany popłoch na podwórku, nie tylko wśród kur i kaczek. Córka gospodyni, kołysząca wózek z niemowlęciem, patrzy na mnie z zaniepokojeniem, jako na sprawcę zamieszania i zasłania dziecko plecami, a konik hasa i bryka.

Otrzymuję zadanie, aby pilnować kaczek, He-

lena Just natomiast zagania żrebię do obory.

Potem, wciąż ścisnąc trzonek młotka, kontynuuje opowieść:

— Mąż przez te ostatnie dwa lata kompletnie osiwiał. O, widzi pan tę kobietę! — wskazuje starszuskę, która czapie z jakimś pakunkiem wzdłuż resztek ulicy Balonowej. — To Janina Witke, sąsiadka, niedawno owdowiała; chłop zmartwił od kłopotów i żałości.

— Ale nie wszyscy się zamartwiają.

— Pewnie, że nie. Ci, co zostali, chcieliby jak najszybciej skończyć z tym wszystkim. Niech pan spojrzy na drugą stronę ulicy. Numery 40, 42 i 44 są już wykupione; wyburzą ich pewnie za dwa lata, ale jeszcze mieszczą, niby tak na dzierżawie. O, tego tam, co ma przed domem ten ogromny kasztan, podliczyli ostatnio za tę dzierżawę i wie pan, ile mu kazali zapłacić? 150 tysięcy. A ten spod 46 martwi się, że go jeszcze nie ruszyli. Pewnie zrobią tam za kilka lat jakąś pięć tramwajową albo przystanek autobusowy, ale na razie nie mają żadnych planów i on się zagryza: inni już w blokach, a ja ciągle na starych śmieciach. U mnie, w tym małym domku mieszka teraz dziewięć osób. Ciasto. No, ale wszyscyśmy powpłacali na bloki, ja z mężem, córka z zięciem i syn, i nawet nasza najmłodsza, niezamężna jeszcze dziewczynka. Oświłiliśmy się już z myślą, tyle że mąż ciągle rozprawia o koniach. Szczególnie, że mamy jeszcze jedną córkę na wsi, daleko stąd, na Pomorzu. No i mąż próbuje ugadać się z zięciem w sprawie tych koni. Dam im kobyłę — powiada — jak się zgodzą pociągować żrebiaki.

— Mają państwo jakąś ziemię?

— Pewnie, że mamy. Cztery hektary za torem. Nie powiem panu, że teraz, kiedy przyszło do nas miasto, upilnować zasiew i uprawę coraz trudniej. Ot, niedawno — sąsiad do nas przylatuje i mówi: lećta na pole, bo wam kradną ziemniaki! Trzech ich przyszło z czterema worami. Wypili butelkę wina i dalej rabować. Jak nadbiegłam, dwóch uciekło, a trzeci wcale się nie bał, dalej kradnie. Udało nam się jakoś z mężem przekonać go, żeby pokazał dowód. Depcz, kradni, idź sobie wolno swoją drogą, ale pokaż jakiś dokument. Był pijany i głupi, więc pokazał. Potem się do niego uzieli — do chodzenie, sprawa... Mężowi chciał jeszcze postawić pół litra, żeby tylko nie zawiadomiał zakładu pracy, bo robotę miał dobrą, na dalekobieżnych pociągach jeździł.

Kobieta wzdycha, a potem mówi dalej:

— Nie uszanuj miejscy ludźci pracy rolnika. A to ci się w zbożu uwala, a to w koniecznie. Mówię nieraz: przecież to jest nasz chleb. A oni na to: my się na tym nie znamy, dla nas to jest zwykła trawa. Młoda marchewkę wyrwają, ścinają kwiaty, ciagle komuś giną kury i kaczki. No i brudzą, jak strasznie brudzą! Dawniej to tu było bezpiecznie i czysto, jeden sąsiad drugiemu przypilnował obiekta. Teraz wysypuje

się tłum z autobusów, ciska butelki, gazety, odpadki. Noż podrażnia nam tu nieraz złoczącą bieliznę oraz to i owo z ubrania, jakieś bluzki, jakieś spodnie...

— Ale to już z dobrego serca?

— Może i tak. Pewnie myślą, że nie mamy co włożyć na grzbiet.

Uśmiecha się. Zmartwienia zmartwieniami, jednakże bieda to oni tam nie mają.

Jakoś tak smutno patrzeć na tę wieś, która rozpłaszcza się jak kostka lodu w gorącej herbacie. Resztki owocowych sadów, tu i ówdzie mroczna gęstwiną stuletnich drzew, ogródki, gdzie kwitną w najlepsze maki, fiołki, stokrotki i lubin; jakiś chłop goli się przed kawałkiem lustra na podwórku; twarz ogorzała, zdrowa, ruchy niespieszne...

Wchodzę na ulicę Dzierżyńskiego, a potem, między blokami, przedostaję się na Maratońską. I łapię się na tym, że mój smutek znika. Teren, okropny przed paroma laty, pełen błota, wertepów i gruzu, został wyrównany. Na każdym kroku widać ogródki dziecięce, nieprzejezdna, wyłączona z ruchu aleja obsadzona jest na przestrzeni kilkuset metrów krzakami róż. Wyplekła ta część Retkini.

Potem ruszam w stronę torów kolejowych. I znowu czegoś żal. Krowy pasą się na boisku piłkarskim, jakaś miejska kobieta plażuje się w kostiumie bikini, obok wiejski chłopak wodzi na łańcuchu kozę.

Pod przystankiem autobusowym wyleguje się na trawie tłum robotników. Dwóch wyrostków ołganie wino z butelki. Emeryci o pogodnych, żywych oczach wygrzewają na ławkach stare kości.

I tak na przemian: raz człowiekowi wesoło, raz smutno.

Pewnie: Retkinią zrobiła karierę. Z niewielkiej wioski przekształciła się w ogromną, stutysięczną dzielnicę, nie tracąc przy tym swojej nazwy.

Podchodzę do niewielkiego, ale estetycznego pomnika. Czytam:

1378—1978

Dla upamiętnienia sześćsetletniej historii Retkini, w hołdzie jej mieszkańcom poległym w walce o odzyskanie wolnej, niepodległej Ojczyzny, z dobrowolnych składek tabliczek ufundowali retkinianie.

Piękny to dowód pamięci.

Tak, Retkinią zrobiła karierę, utrzymała nazwę. Balonowej za kilka lat nikt już pamiętać nie będzie. Balonowej nie żegnała prasa, kronika filmowa i telewizja. Bo i co tu robić wrzawę o jakąś małą, ukwieconą wieś. Padła to padła, ludzie nie stracili a miasto zyskało. Reporter „Odgłosów” był na miejscu i sprawę odnotował, aby zachować dla historii jakiś tam maleńki ślad.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Dalszy ciąg ze str. 1

występuje duże rozdrobnienie: średnia wielkość gospodarstwa indywidualnego (powyżej 0,5 ha) wynosi 4,3 ha, podczas gdy w kraju 5,2 ha. Budowa nowych dróg i autostrad, przecinających małe województwo, także przyczynia się do rozdrobnienia.

— Ze względu na ciągły ruch ziemi trzeba systematycznie przeprowadzać scalenia i wymiany — mówi Czesław Kownacki. — Ale nie częściej, niż co pięć lat. Obecnie, gdy powszechne staną się renty i emerytury dla rolników, następcy zatrzymają gospodarstwa i ruch ziemi stanie się mniejszy.

W ubiegłym roku w woj. miejskim przeprowadzono scalenia na obszarze 4,616 ha. W przyszłej pięcioletniej scalenia obejmą obszar 16 tys. ha.

Jednego z pierwszych scalen dokonało we wsi Bukowiec w gminie Brójce, gdzie występowało duże rozdrobnienie, a pośród pól chłopskich rozposzone były grunty SKR, 50 ha w 30 działkach. Był też znaczny areal gruntów PFZ, 68 ha w 40 działkach, do czego wkrótce miało dojść 100 ha ziemi przejmowanej za rentę, także w szachownicy. W wyniku scalen SKR posiada 7 kompleksów o powierzchni 211 ha. Długość dróg dojazdowych zmalała z 19,5 km do 5 km.

Scalenia przeprowadzono lub prze-

zrobili, ale czemu sąsiadowi zrobili lepiej?

— Geodeta też człowiek. Pensja niewielka, więc łatwo go zalać. Geodeci pili i brali, wielu siedziało...

— Toteż takich już nie ma. A inni wykruszają się z innych przyczyn. Żony im zabraniają tej pracy, chcą mieć mężów przy sobie. W Łodzi zarabiają te same pieniądze, więc po co męczyć się cygańskim życiem? Muszę przyznać, że obecnie, gdy na wsi nastąpiła zmiana generacji, z młodymi łatwiej się dogadać. Mniej jest utępienia, ale i tak geodeta nasłucha się takich wyzisków i przekleństw, jakich nie należy życzyć najgorszemu wrogowi...

Scalenie obejmuje przeważnie ob-

konserwach i szklance herbaty. W Piotrkowskim, przy scalaniu pracują sami geodeci, bo nie ma do pomocy robotników. Decydują stawkę: od kwietnia do października robotnik otrzymuje 150 zł dziennie, zimą 100 zł. Niewykwalifikowany pomocnik murarza zarabia na wsi 500 zł dziennie.

Geodeta więc siedzi na wsi i wszyscy patrzą mu na ręce, bez przerwy nachodzą, pytają, albo usiłują wymóc na nim to, co dla nich korzystne.

Wraz z nowym rysunkiem wsi geodeta przedstawia kwestionariusz życzeń. I, jeśli wraz ze scalaniem dokonuje się wymiany gruntów, z miejsca rodzą się kolizje między chłopami a jednostkami społecznymi. Gospodarstwa uspołecznione respektują nawet słabszą ziemię, ale musi być w kompleksie. Chłop weźmie kilka działek, byle tylko ziemia była dobra i blisko domu. Geodeta musi to pogodzić. W pracy pomaga mu rada scaleniowa, złożona z przedstawicieli chłopów i jednostek uspołecznionych. Pomaga, albo przeszkadza. Do wyłożonego do wglądu projektu scalen od rana do wieczora ciągną różne delegacje. Trwają dyskusje, utarczki słowne, geodeta cierpliwie dokonuje kosmetyki projektu. Wielu ma już tego dość i dlatego geodetów wciąż jest za mało. Oprócz ludzi brakuje także środków transportu, sprzętu techniczno-biurowego, pomiarowego, itp.

Geodetom powinien pomagać naczelnik gminy, ale dla niego jest to niewygodne. Bo geodeta odjedzie, a naczelnik zostanie i na nim skrupa się pretensje niezadowolonych chłopów. Wydaje się, że gdyby naczelnik był odpowiedzialny za scalenia, to musiałby się sprawą zainteresować, bo byłby z tego rozliczany. A scalenia nadal powinni przeprowadzać geodeci z województwa. Zresztą od 1 lipca 1980 r. Wojewódzkie Biura Geodezji uzyskają wyższą rangę — będą mogły podejmować i podpisywać ważne decyzje, które dotąd podejmowały, często niezbyt szczęśliwie, wydziały rolnictwa, mało rozeznanie w skomplikowanych pracach scaleniowych.

Nastąpią pewne zmiany w ustawie scaleniowej. Dotyczy to m. in. wymiany gruntów, która jest operacją prostszą i tańszą, polegającą na należytym ukształtowaniu pól gospodarstw państwowych poprzez zamianę tych pól z gruntami rolników indywidualnych, ale tak, żeby nie naruszać pól innych rolników. Jak dotąd wymianę prowadzono wyłącznie na wniosek gospodarstw państwowych, które zresztą nie chciały

oddawać lepszych gruntów chłopom. W tym roku z wnioskami o wymianę będą mogli występować także rolnicy indywidualni, przy czym będą mogli „wchodzić” także na grunty swoich sąsiadów, co daje większe możliwości manewrów w likwidowaniu szachownicy.

Jak dotąd scalen dokonywano głównie z urzędu, rzadko na wniosek chłopów. Gdy chłop wystąpił z wnioskiem, musieli płacić po 300 zł za hektar scalonej ziemi. Od przyszłego roku rolnicy nie będą płacić, co powinno ich zachęcić do występowania z wnioskami o scalenia.

Jak widać, do scalen zaczyna się przykładać coraz większą wagę. I słusznie, bo wiąże się z tym wiele korzyści. Z chwilą wejścia w życie ustawy o rentach i emeryturach, podczas prac scaleniowych można, na przykład, wydzielić grunty PFZ dla przyszłego, trwałego ich rozdysponowania, a także zlokalizować w pobliżu gospodarstw uspołecznionych gospodarstwa indywidualne, przewidziane w perspektywie do przejęcia.

Właściwa konfiguracja pól pozwala na stosowanie nowoczesnej agrotechniki, na dobre prowadzenie chemizacji, wszechstronną mechanizację prac polowych i uprawnych. Na większych, prawidłowo ukształtowanych terenach sprawniej przebiega zbiór plodów rolnych, a dzięki skróceniu dróg dojazdowych oszczędza się czas transportu. W ub. roku na terenie województwa miejskiego we władaniu PFZ znajdowało się 5 tys. ha ziemi podzielonej na 11 tys. działek. Scalając 1000 ha zyskuje się tytułem likwidacji między 40 ha. Przy dobrych zbiorach daje to dodatkowo 160 ton pszenicy. Warto podkreślić, iż efektem scalen jest wzrost produkcji o 30—50 proc.

A więc komasacja to sprawa niebagatelna. Dla przyszłości naszego rolnictwa. Komasaacja jednak nie może być akcją — musi trwać ciągle. Z tym, że jej przeprowadzanie nie powinno osłabiać poczucia stabilności u rolników, ani hamować prac rolniczych. Rzeczne szacowanie wartości gruntów i sprawiedliwie wydzielane ekwiwalenty winny zachęcić rolników do scalen. Leży to w interesie samych chłopów, jak i państwa. Jeżeli służba geodezyjna zostanie wzmocniona i należycie wyposażona, to korzyści wynikające ze scalen mogą w dużym stopniu zniwelować kłopoty związane z wyżywieniem narodu.

RYSZARD BINKOWSKI

ODGŁOSY 7

MIOTŁA NA SZACHOWNICY

— Ale powstaną nowe działki, po 30 arów, przeznaczone dożywotnio dla zdających gospodarstwa.

— To jest sytuacja paradoksalna, bo dom jest własnością prywatną, a stoi na państwowej ziemi, gdyż te 30 arów należy do państwa. Ale te działki powoli będą „wchłaniać” następcy. Dla geodetów pracy jednak nie zabraknie. Państwo ma mało gruntów do dyspozycji, toteż spółdzielnie produkcyjne wykupują działki od chłopów i znowu powstaje szachownica. To samo dzieje się wówczas, gdy chłop wstępuje do spółdzielni produkcyjnej...

Na marginesie warto zaznaczyć, iż kilka lat temu szachownica powstała z winy nadgorliwych naczelników gmin, którzy zabierali ziemię PFZ, dzierżawioną przez chłopów. Ziemię tę na silę przekazywano SKR. Dzisiaj likwiduje się niektóre Zakłady Gospodarki Rolnej, należące do SKR. Zabrano już około 800 ha SKR i sprzedano chłopom. I teraz tę ziemię, gdzie nie ma następców, sprzedawać się będzie przede wszystkim chłopom. W ubiegłym roku sprzedano rolnikom 932 ha, w tym roku sprzedać się 1000 ha. Należy się uczyć na błędach, byle nie za długo.

prowadzi się w takich rejonach jak Glinnik, Kemblina, Borchówka, Lutomiersk, Konstantynów, Byszewy. W rejonie Marianpola, gmina Parzęczew komasacja objęła kilkanaście wsi. Stamtąd jeden z rolników śle wszędzie skargi. Miał jedną działkę i ma jedną, niemal taką samą, ale z ładnie wyprostowaną granicą. Ba, ma nawet więcej niż przedtem, o 2 ary, Ale te 2 ary są trochę podmokłe...

W Makolicach, gm. Głowno, geodeci natrafili na tak zdecydowany sprzeciw rolników, że musieli odstąpić od scalen...

Geodeta może pokazać się we wsi w dwa lata po scaleniu — mówi mgr Jerzy Kustrzyński, dyrektor do spraw prawnych Wojewódzkiego Biura Geodezji. — Wtedy ma pewność, że wygasły nerwy, wszyscy ochłoneli i zdążyli się przekonać, że jest dobrze.

— A jeśli chłopci nadal uważają, że jest źle?

— Nie, oni tylko w trakcie scalen uważają, że geodeta robi tak, jak mu się podoba. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ze złej woli potrafi zrobić całą robotę scaleniową. Inny powie, że owszem, u niego dobrze

szar jednej wsi. Zespół geodezyjny wkracza tam, gdy uregulowany jest stan prawny. Przede wszystkim musi być unormowane stosunki własnościowe, z zaznaczeniem, które grunty przejdą na skarb państwa, a które w ręce następców. Dopiero wówczas zaczyna się „czystka” na szachownicy. Na czystkę mogą sobie pozwolić ludzie z zewnątrz, niezwiązani układami w gminie, dlatego robią to „obcy” — geodeci z województwa.

Rozpoczyna się żmudna praca nad nowym rysunkiem wsi. Trzeba w nim uwzględnić interesy wszystkich rolników, tak wszystkich „poukładac”, żeby zgadzał się areal i wartość ziemi różnej klasy. Jest to niewątpliwie praca twórcza, ale geodeta musi być nie tylko człowiekiem ze znakomitą wyobraźnią, lecz także dobrym psychologiem i świetnym rolnikiem. Musi czuć, rozumieć sprawy chłopskie i umieć przekonać chłopca, że takie właśnie rozwiązanie jest najlepsze.

Geodeta mieszka na kwaterach, o które coraz trudniej. Nikt nie chce wynajmować, o gotowaniu obiadu nie ma mowy. Dobrze, jeśli w pobliżu jest gospoda, a tak żyje się na

Wiesław Rogowski w „Kulturze” prezentując Polskę kulturalną, napisał między innymi:

„Najważniejszym tego warunkiem była świadomość, iż bez rozwoju kultury, bez budzenia i zaspokajania potrzeb w tej sferze życia, nie może być mowy o prawidłowym dojrzewaniu społeczeństwa — co stanowiło podstawę programu polityki kulturalnej partii przez całe 35-lecie.”

Przeprowadzona przed pięciu laty reforma administracyjna przyczyniła się do jeszcze większego budzenia kulturalnych potrzeb i do ich zaspokajania, ale w stopniu znacznie ograniczonym niż by należało się tego spodziewać i oczekiwać. Ambicje, plany i zamierzenia ciągle jeszcze daleko wyprzedzają możliwości ich zrealizowania. Sprzyjała jednak rodu się coraz to nowych i interesujących inicjatyw. A te, jak i stopień ich realizacji zależą od siły i możliwości poszczególnych środowisk kulturalnych.

„tam — że zacytuje jeszcze raz artykuł Wiesława Rogowskiego „Polska kulturalna” — gdzie znaleźli się aktywni działacze i miłośnicy kultury, tam potrafili stworzyć zalety takich środowisk, powołać organizacje społecznych sprzymierzeńców kultury, dać życie embrionom odpowiednich instytucji, które później przez swe oddziaływanie przyczyniły się do narodzin i rozwoju grup twórczych i środowiska artystyczno-kulturalnego.”

Taki proces zachodzi między innymi w wojewódzkim mieście Włocławku.

Włocławek stał się siedzibą województwa w czerwcu 1975 roku. Od dawna jednak uważany jest za stolicę Kujaw, choć do miana takiego pretendował też Inowrocław. Powołanie województwa włocławskiego zbiegło się z rozwojem przemysłu w mieście, że wspomnę tylko o Azotach, co znacznie podniosło rangę miasta i uwielokrotniło potrzeby jego mieszkańców. Również potrzeby kulturalne. Ambicje i potrzeby tego rodzaju nie są czymś nowym we Włocławku, zważywszy na jego bogatą tradycję kulturalną.

Struktura instytucji kulturalnych w „nowych” i „starych” województwach jest w zasadzie taka sama. Opiera się ona na sieci domów kultury, bibliotek, klubów, muzeów, księgarni, kin, na regionalnych towarzystwach. Silniejsze ośrodki obok tradycji, dysponują też środowiskami twórczymi z takim czy innym dorobkiem, posiadają teatry; wydawnictwa, opery, filharmonie, wyższe szkoły humanistyczne i artystyczne. Ambicją niektórych „młodych” społeczności wojewódzkich jest szybkie ilościowe dorównanie „starym” ośrodkom kulturalnym, ale są to ambicje i zamierzenia skazane na niepowodzenie. W rozwoju kulturalnym Polski nie o to wcale chodzi, aby było 49 filharmonii i w każdym wojewódzkim mieście teatr zawodowy. Chodzi natomiast o to, aby w oparciu o istniejącą bazę kultury budzić wśród odbiorców coraz ambitniejsze potrzeby, kształtować gust i tworzyć własne środowiska kulturalno-twórcze.

Czy Włocławek poszedł tą drogą? Wydaje się, że tak. Wskazuje na to choćby struktura istniejącej tutaj bazy kulturalnej. Działa tu między innymi Dobrzyńsko-Kujawskie Towarzystwo Kulturalne, Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej, Muzeum Historii Włocławka, Biuro Wystaw Artystycznych, Wojewódzka Biblioteka i Publiczna, wychodzący od kilku lat tygodnik społeczno-polityczny „Kujawy”. A obok tego kluby literackie: „Kujawy”, młodych pisarzy przy ZW ZSMP, robotników piszących przy WRZZ oraz klub literacki „Handlowiec”. Od kilku lat odwiedza systematycznie Włocławek Teatr Powszechny z Warszawy, coraz silniej wiążąc się z miastem i jego społec-

zeństwem. A tradycje teatralne, choć może tylko w niektórych grupach społeczeństwa miasta, powinny być tu silne. To przecież zainteresowania teatralne wśród młodzieży Gimnazjum Ziemi Kujawskiej budził teatr szkolny, a później teatr nauczycielski prowadzony przez nieodżałowanego polonistę, profesora Włodzimierza Gniazdowskiego.

Inspiracją dla swej aktualnej działalności kulturalnej działacze z Włocławka szukają zarówno w bogatej tradycji, jak i poznając obecne potrzeby mieszkańców. Przeprowadzona we wrześniu 1979 roku anketa pozwoliła stwierdzić, że włocławianie sprawy kultury stawiają na trzecim miejscu, i że są ze stanu kultury w

kietowanych deklaruje, że chętnie „czymś takim by się zajęło”.

Jak z tego widać w tym modelu ludystycznej kultury, ukierunkowanym wyraźnie przede wszystkim na odbiór powstała rysa. Dowodzi, że obok postaw biernych wśród odbiorców kultury kształtować się zaczyna postawy czynne, charakteryzujące się między innymi tym, że wartości o-trzymane pragną przetwarzać wedle własnych pragnień, wyobrażeń i wewnętrznych potrzeb. Takie tendencje powinny być podstawą dla procesu tworzenia się lokalnego środowiska artystyczno-twórczego. I działania władz województwa idą w kierunku umacniania i utrwalania tego procesu.

slonym, Januszu Odrowążu-Pieniążku, Wiesławie Rogowskim, Mieczysławie M. Szarganie, Januszu Żernickim i wielu innych, którzy bądź to z Kujaw pochodzą, bądź tu spędzili jakąś część swego życia.

Umyślono więc — jak to trafnie sformułowały „Kujawy” — „dokonać próby oceny kulturotwórczej roku Kujaw i miejsca ich kultury w kulturze ogólnopolskiej”. Tygodnik zwrócił się do pisarzy, dziennikarzy i ludzi sztuki, którzy swój rodowód twórczy wywodzą z tego regionu, aby wypowiedzieli się w ankiecie „Kujawskie inspiracje”. Wcześniej jeszcze doc. dr Zdzisław Mrozek opublikował na łamach włocławskiego tygodnika „Słownik pisarzy kujawskich”. I

Można powiedzieć, że do tej pory Włocławek wiele dawał z siebie. Wśród ludzi, którzy spotkali się we Włocławku, którzy przyjechali z różnych stron Polski, była spora gromada wychowanków zasłużonego Gimnazjum Ziemi Kujawskiej. Byli też ludzie pochodzący z innych części Kujaw, którzy z wdzięcznością przyjęli okazję spotkania się z ziemią rodzinną. Organizatorzy mieli nadzieję, że goście zetknąwszy się z włocławskimi przemianami, poczną niejako „wyrzuty sumienia” i postanowią teraz Włocławkowi dać coś, zwrócić dług wdzięczności za inspirację i doświadczenia stąd wyniesione.

Były więc różne dyskusje i powszechne wołanie o większe możliwości druku. Tak się złożyło — a nie jest to chyba prawidłowość w skali ogólnej — że przeważającą większość na włocławskim spotkaniu stanowili poeci. Tacy już z dorobkiem i dopiero po debiucie w czasopiśmie, a w oczekiwaniu na debiut książkowy. Tu chciałbym zwrócić uwagę na Józefa Krupińskiego ze Skarbanowa koło Izbicy Kujawskiej, który obecnie pracuje jako górnik na Śląsku, szuka swojej drogi w życiu, a z tych poszukiwań wychodzą piękne i wzruszające wiersze, które mają się niedługo ukazać drukiem nakładem Wydawnictwa Morskiego w zbiorku pod tytułem: „Kwiaty kujawskie”. Więc ci wszyscy poeci bardzo gromko wołali, o większe możliwości druku, a przy okazji krytykowali „Kujawy”, że mają mało miejsca na prozę, na literaturę i kulturę, choć to nie jest taka zupełna prawda. Na marginesie wypada dodać, że „Kujawy” wychodzą na trzy województwa: bydgoskie, toruńskie i włocławskie, mają nakład 70 tysięcy egzemplarzy, rozchodzą się praktycznie bez zwrotów i starają się coraz ambitniej odgrywać swoją rolę w kształtowaniu kulturalnych środowisk na Kujawach. A napór ludzi piszących na czasopisma z żądaniem druku występuje nie tylko we Włocławku. A nie zawsze za takim naporem idą teksty, na które oczekuje redakcja prowadząca przecież własną politykę w piśmie, od której zależy wypełnianie nadrzędnej roli pisma, jak i jego pozycja na rynku czytelnictwa.

Co dało włocławskie spotkanie? Utwierdziło w przeświadczeniu, że skoro do tej pory Włocławek, Kujawy mogły dać tyle z siebie, że kujawskie inspiracje były do tej pory tak owocne, więc i teraz stać Kujawy na wiele. Tym bardziej, że władze przychylnie są wszelkim kulturotwórczym inicjatywom, popierają je i służą pomocą. Poza tym powstała nadzieja, że wielu z gości znów tu powróci, że zainteresuje się przemianami, jakie na Kujawach zachodzą, że zechce skonfrontować już na spokojnie i samodzielnie obrazy zachowane w pamięci, z tym, co się teraz na Kujawach dzieje i że powstanie z tego coś pożytecznego. Głośno wołano o powtórzenie takiego spotkania za rok, choć organizatorzy obiecywali, że zrobią je dopiero za dwa lata.

Przy Dobrzyńsko-Kujawskim Towarzystwie Kulturalnym powołano klub pisarzy kujawskich, do którego wielu z obecnych zgłosiło swój akces. Przewodniczącą tego klubu wybrano Teresę Bojarską. Jak ta inicjatywa sprawdzi się w praktyce pokaże czas. Być może wielu piszących, mimo oddalenia wynikającego z miejsca pracy i zamieszkania, poczuje się nadal związanymi z Kujawami, i być może związek ten dać pozytywnie rezultaty dla rodzającego się we Włocławku środowiska kulturalnego. A to, że tam takie środowisko rodzi się wprawdzie powoli, w bólach i trudach, nie ulega dla mnie wątpliwości. I tak być powinno.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KUJAWSKIE POSZUKIWANIA



Uczestnicy spotkania we Włocławku złożyli kwiaty na grobach działaczy zasłużonych dla rozwoju kultury na Kujawach: Zbigniewa Arentowicza i Włodzimierza Gniazdowskiego.

Foto: L. Włodkowski

mieście niezadowoleni. Przede wszystkim są oni niezadowoleni ze stanu zaopatrzenia miasta w różnorodne towary (54 proc. odpowiadających), następnie z sytuacji mieszkaniowej panującej w mieście (51 proc. odpowiadających) i ze stanu działalności kulturalnej (34 proc. odpowiadających).

Jak sobie ankietowani włocławianie wyobrażają model kultury w mieście wojewódzkim? Jest to model kultury ludystycznej. Włocławianie oczekują, że w mieście wybuduje się stary cyrk, operetkę, wesołe miasteczko, wielofunkcyjny dom kultury z salą teatralną i koncertową, nowe kino, że organizować się będzie więcej festynów. Ale obok tego uważają, że takie miasto jak Włocławek powinno mieć stary teatr i wyższą uczelnię.

Jednocześnie 22 procent odpowiadających stwierdza, że ktoś z ich rodzin zajmuje się jakąś dziedziną twórczości amatorskiej, a 14 procent an-

Kujawy odegrały w dziejach kraju poważną rolę. Pisała o tym w maju 1980 r. na łamach „Kujaw” Teresa Bojarska, pisarka, który od 16 lat mieszka i pracuje we Włocławku. „Kujawy” przypomniały przy tej okazji ludzi, którzy wywiedli się z tego regionu, a odegrali znaczną rolę w historii kultury polskiej. Jak na przykład Klemens Janicki, Jan Kasprzowicz, Stanisław Przybyszewski. Wspomniano o pisarzach nieżyjących a tworzących w naszych już czasach, jak Bohdan Ostromecki, Zenon Kosidowski, Edward Stachura, czy genialny poeta ludowy — Franciszek Bećlicki.

Wspomniano też o nam współczesnych, różne miejsce zajmujących w życiu kulturalnym kraju: Marii Kuncewiczowej, Wacławie Kubackim, Krzysztofie Coriolanie, Zbigniewu Jerzynie, Jerzym Kierście, Tadeuszu Kwiatkowskim-Cugowie, Michale Mi-

wreszcie na 22 maja 1980 roku zwołano I Zjazd Pisarzy Kujawskich, w którym uczestniczyły 34 osoby.

Może to się wydawać nieco megalomańskie, taki zjazd pisarzy kujawskich, jako że trudno dzielić literaturę polską na poszczególne regiony, alii organizatorom i inspiratorom chodziło zupełnie o coś innego. Próbie oceny kulturotwórczej roli Kujaw służyła anketa „Kujawskie inspiracje”, próbie takiej oceny miało też służyć spotkanie ludzi pióra z regionem, z którego się wywodzi, z którym się zetknęli, w którym ukształtowały się ich doświadczenia życiowe. Chciano się przekonać, jak zareagują na zmiany, które się we Włocławku dokonały. To już dziś inne miasto, żyjące innym rytmem, stawiające sobie inne niż dawniej cele. Zastanawiano się, czy odezwa się stare wiano, sentymenty, przeżycia i co z tego wyniknie.

NIC NIE ZASTĄPI SYSTEMATYCZNEJ PRACY

Rozmowa z
ANDRZEJEM ZAMOLSKIM
dyrygentem i kierownikiem
artystycznym chóru
„Harmonia”

— Dyrygentura chóralna to pana zawód czy hobby?

— I jedno i drugie. Zawód, bo posiadam kierunkowe wykształcenie muzyczne, ale przy tym i hobby, gdyż w prowadzeniu chóru wkładam, bez przesady, całego siebie. To moja pasja. Twierdzą zresztą, że bez całkowitego oddania się

sprawie trudno kierować chórem amatorskim. Dyrygenci, którzy robią to „na zimno”, mechanicznie, nie osiągają ciekawych rezultatów.

— Jak doszedł pan do swej specjalizacji?

— Zajmowałem się chórem od wczesnej młodości. Najpierw śpiewałem przez kilka lat w zespole „Bel Canto” — to była pierwsza szkoła — później, jeszcze jako uczeń średniej szkoły muzycznej, prowadziłem harcerski chór „Łódzkie Szczygły”, z którym wyjechałem nawet na X Festiwal Młodzieży do Berlina. Po ukończeniu studiów na Wydziale Wychowania Muzycznego w PWSM w Łodzi rozpocząłem naukę w Poznaniu, na Wydziale Dyrygentury u prof. Stulgrosza, śpiewając jednocześnie w „Poznańskich Słowikach”. To śpiewanie w tak znakomitym chórze dało mi również bardzo wiele.

— „Poznańskie Słowiki” osiągnęły sławę światową. Co decyduje, pana zdaniem, o sukcesie zespołu chóralnego?

— Liczy się, jak wespół, odrobina szczęścia. Jednakże nic nie zastąpi systematycznej pracy, częstych prób przy pełnej mobilizacji sił.

— W jakim stopniu sukces jest udziałem dyrygenta, a w jakim — zespołu?

— Przytoczę może trochę zbanalizowane twierdzenie, pod którym podpisuję się wszakże oboma rękami: nie ma złych chórow, są złe dyrygenci. Czasami bardzo dobry zespół traci przez złego dyrygenta wszystko, co było jego atutem. Kiedy indziej jest jak gdyby odwrotnie — zespół początkujący szybko osiąga wysoki poziom dzięki dobremu chórmistrzowi. Trudno więc przecenić rolę dyrygenta. W Łodzi mamy kilku prawdziwych fachowców w tej dziedzinie, należał do nich nieżyjący już kompozytor, Bernard Pietrzak, kierujący przez szereg lat „Harmonią”.

— Czas chyba przedstawić Czytelnikom „Harmonię”, choć to skądinąd zespół znany z uwagi na swą długoletnią tradycję i osiągnięcia — myślę np. o tegorocznym zwycięstwie w Łódzkim Turnieju Chóralnym...

— Rzeczywiście, „Harmonia” jest jednym z najstarszych chórow w Łodzi. W sierpniu przyszłego roku obchodzić będzie jubileusz 95-lecia, na który zaproszone zostały już m.in. zaprzyjaźnione chóry z zagranicy. Zespół nasz jest chórem w pełni amatorskim, jego członkowie rekrutują się głównie ze środowisk robotniczych. Jednakże nie działamy pod opieką jakiegokolwiek zewnętrznego zakładu pracy. Może to i źle, bo warunki pracy byłyby pewnie lepsze. Te obecne pozostawiają wiele do życzenia. Mam problemy finansowe, a miejsce, gdzie odbywają się próby — rudera przy ul. Głazowej 4 — zniechęca młodych do wstępowania do zespołu.

— Jaka jest przeciętna wieku chórzystów?

— Około 30 lat. Jest szereg osób starszych, wśród nich pani, która śpiewa w „Harmonii” ponad 40 lat, jest też trochę młodzieży.

— Czy to zróżnicowanie wieku nie rzutuje niekorzystnie na problemy czysto artystyczne, czy nie prowadzi do rozbieżności, tak przecież ważnej, jednolitości brzmienia?

— Niestety tak. Powstaje przez to właśnie niezgodność barwy głosów, również niejednolitość intonacyjna. Praca nad „dopasowaniem” głosów młodych do starszych zabiera stosunkowo wiele czasu.

— A jak przebiega kształtowanie interpretacji?

— Najczęściej nie trzymam się kurczowo jakiegokolwiek wzorca i w pewnym przynajmniej zakresie zmieniam interpretację nawet na koncercie. Jest to możliwe dzięki temu, że

opracowując utwór zostawiam określony margines swobody wykonawczej.

— Co obejmuje repertuar zespołu?

— Budowanie repertuaru jest o tyle kłopotliwe, że pewne potrzebne pozycje z literatury muzycznej są trudno dostępne w sklepach. Tym niemniej staram się bazować na tym, co uważam za najlepsze, jeśli idzie o kształcenie, rozwój chóru. Preferuję mianowicie muzykę dawną, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości rodzimej. Wykonujemy poza tym polską muzykę ludową i współczesną, jak i — ostatnio — mało znaną u nas utwory kompozytorów hinduskich, japońskich i południowo-amerykańskich. Naturalnie sporo materiałów muszę sprowadzać z zagranicy.

— W momencie, gdy tekst ten dotrze do Czytelników, „Harmonia” gości będzie w Holandii.

— Zostaliśmy zaproszeni tam już po raz drugi przez zaprzyjaźniony chór „Helmondse Mannenkoor”, który odwiedził nas również, występując w Łodzi w ozerwcu 1978 r. Będziemy śpiewać w Helmond — gdzie jest przepiękna sala koncertowa — a także w Hadze i Amsterdamie. Nasze występy rozpoczynać będziemy hymnem „Gaude Mater Polonia”, ponadto w pierwszym części programu znajdą się utwory Wacława z Szamotuł, Mikołaja Gomółki, Mikołaja Zieleńskiego, Bartłomieja Pękla, w drugiej zaś opracowania naszych pieśni ludowych oraz efektowna „Mała suita” Artura Malawskiego. Myślę, że ten polski repertuar zainteresuje holenderskich melomanów. Spodziewamy się też okazji do wysłuchania tamtejszych chórow i orkiestr. Tak więc wrażeń artystycznych nie powinno brakować.

Rozmawiał: JANUSZ JANYST

JAKIB HUDEMCIUK

MOJA ŚWIĄTYNIA

Trzeba, żeby człowiek miał w duszy jakąś świątynię, do której mógłby schodzić i modlić się.

Roman Fedoriv

I ja świątynię wysklepiłem
W duszy sekretnej głębokości.
Niejeden raz do niej schodziłem,
By tam pomodlić się w cisłości,
Aby ze sobą pobyć dłużej
Z dala od zgrzyot i porażek,
By znów w dzieciństwo się zanurzyć,
W świat dziwnych zdarzeń i niezarzeń;
By znów się znaleźć oko w oko
Z krajem tak dawno porzuconym,
Zbiakłym przypomnieć się widokom
I radość sercem brać stęsknionym,
Zajrzeć w błękitne jeziora oczu —
Takie jak oczy ukochanej —
A wszystko to, co duszę mroczy,
Będzie przez myśl poniekane...
Zawsze opuszczam tę świątynię
Z błogim uczuciem odrodzenia.
Nież dobrodziejstw, bywa, spłynie
Z marzenia, z w — siebie — zastąpienia.

1980

JEWHEN SAMOCHWALENKO

MAZOWSZE

Ziemia jak żużel,
sosny jak bursztyn,
lasy,
pola,
sady,
różne przeurodne;
marzenia rozpętane
panienek,
wytwornych panien;
skrawek Polski —
szlachetne wolanie
o sens życia,
braterstwo...
I co nam z urzów!
Nieufności,
złą pamięć
straciłamy z granic.
Nad nami czar upojny
jedności,
zbratania.

1979

IWAN ZŁATOKUDR

MYŚLAĆ O MICKIEWICZU

Nieśli między lud słowo nieuległe
drożynami kwietnymi cieniowymi wierzbowymi
gościńcem brukowanym mozołem
czerpali miłość synowską
z ojczyściwych leczniczych krynic
„Pana Tadeusza” przychylił wiek dwudziesty
rozwarł wnuk rozmarzony
okno wyobraźni
na szczybót jaskółek
romantykę czystego błękitu
na szlachty zawiadającej wrzawę
i znów gra róg myśliwski nad borami
i wędruje księżyc wśród świecących młodych rós
i znów na zwłoczących strunach mego serca
biały anioł ciepłe dłonie złożył

1978

Przekład:

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

OSTAP LAPSKI

ADAM MICKIEWICZ

Antonowi Werbie

Tam na szlaku, na rozłogu
Kierunkowskaz. To dla kogo?
Dla mnie i dla ziomeków w świecie
Stoi przewodnik milionów,
Mocarz słów, bo mocarz myśli.
Nie zamarł głazem na piedestale,
Umiał znurować i dno naszych dni,
Przeszywszy — jednym bólem, drugim Bogiem.

1978

JANKA KUPAŁA

1914 — TY

Odchodzisz tam, skąd już powrotu nie ma,
Lecz nam na zawsze pozostawiasz ślad...
O roku! Takich rzadko rodzi ziemia,
O roku, nie znał jeszcze takich świat!

Powstałeś nie ze zgody i swobody,
Twe przyjdzie nie wieszcei prawdy znak —
Przyszedłeś milionami istnień wstrząsnąć,
Wymościć kośćmi swej wędrówki szlak.

Upiorną zjawą z nocy tysiącleci
Wyzierać będziesz niczym kława zła
I będą matki straszyć tobą dzieci.
Przeklinać ten, co dzisiaj umrzeć ma.

Bo „nie zabija” tyś znieważył prawo,
Ciemniowym wieńcem cały glob ozdobił.
Uczynił z ludzi bestie uczy krwawej
I wręczył tym, co mieli przyjąć po tobie.

Niech płyną łzy, niech łuny płoną rdzawo,
Niech dym pożarów w mrok zamieni słońce!
Krwiożerczy bóg swych ofiar żniwo krwawe
Jak zboże z pola zebrać chce do końca.

Aż przyjdzie inny rok. Gdy zniknie twoga,
On stanie się początkiem innych lat.
A miecz niewidzialnego Losu-boga
Bezkrwawe prawo wzniesie ponad świat.

A TO BYŁ SEN...

A był to tylko smutny sen
Stęsknionej duszy rozplakanej,
Ze do mnie w zwykły, błady dzień
Promienne światło zawitało.

A był to tylko smutny sen,
Ze z oczu jej, że z jej uśmiechu
Wyczytałem kanon świętych praw
Miłości szczerzej i pociechy.

A był to tylko smutny sen,
Ze może jakaś łuna ona
Zrozumie bólu mego jęk,
Do głębi duszę moją pozna.

A był to tylko smutny sen,
Ze przy niej bieda lekka będzie,
Ze głosu jej przyjaźny dźwięk
Podążać będzie za mną wszędzie.

W udziale mój był tylko sen;
Ktoś inny przeżył to na jawie.
Niewiele stworzył mnie i jej
I odszedł, by... nie wrócić wcale!

Przekład:

ELEONORA KARPUK

JANKA KUPAŁA

CHAOS

Gdziekolwiek spojrzeć — wszędzie ludzie,
Gdziekolwiek spojrzeć — szelmy same,
Gdziekolwiek spojrzeć — mówić lubią
O swej prawości niestychanej.

Ktoś umie swe bogactwa mnożyć,
Z dnia na dzień żyje ktoś ubożej,
Bo każdy może biedę zdobyć,
Nie każdy pozbyć się jej może.

Lew skutu osu nogi liże,
A osioł mierzy coraz wyżej.
Gdy kabza pełna — coś to znaczy,
Ze wdowa płacze gdzieś pod krzyżem!

Zło z dobrem trwa w jednakiej mierze,
Ideę świętą depcą świnie,
Jak wzniosła myśl prostaka miersi,
Tak dusza w błocie tonie, ginie.

Los rzuca nami jak sam rechce,
Jak zboże w żarnach życie zmiele,
Dziś jednym pogrzeb ma wyprawie,
A innych sprosi na wesele.

Nieprawda prawdę okiełznała
I jedzie na ludzkości grzbiecie,
A człowiek — kawał gnoju, sadła —
Jak bydlę żyje na tym świecie.

Czart wesół tylko, żeby szczerzy,
Na oścież rozwarł piekła wrota,
Rad szelma: z wiedzą tańczy polkę,
Bo chaos — jego to robota!

Przekład:

ELEONORA KARPUK

te domu wierszy Janki Kupały przygotowywanych do druku w Wydawnictwie Łódzkim).

OD TLUMACZA

Oto kilku poetów ukraińskich zamieszczonych w zbiorze „1914 — Ty” Janki Kupały, którzy w latach 1914-1917 żyli w Warszawie, a ich twórczość była związana z polską literaturą.

Parę słów o przełożonych przeze mnie poetach, że tak powiem, mojej generacji:
Ostap Lapski, prof. dr, ur. w 1926 we wsi Huczi koło Kobrynia; rusycysta, wykładowca literatury ukraińskiej na Uniwersytecie Warszawskim, autor podręczników i rozpraw filologicznych. Drukując wiersze na łamach prasy ukraińskiej w Polsce i ZSRR Zastępcę naczelnika na język polski poetów ukraińskich, białoruskich i rosyjskich, a na język ukraiński wielu poetów polskich, a także niemieckich.

Jewhen Samochwalenko, ur. 1917. Z zawodu farmaceuta. Mieszka i pracuje w Dobryniu nad Wisłą. Wiersze publikuje w czasopiśmie i drukach zwartych ukraińskich po obu stronach granicy oraz w „Kulturze”. Wydał książki: „Poetyckie: „Nad Wisłusiu”, 1974 oraz „Paralele” (Paralele), 1979.

Jakib Hudemciuk, ur. 1922 w Łucku. Żołnierz Wojska Polskiego we wrześniu 39 r. Obecnie pracuje w służbie zdrowia w Koszalinie. Poeta, tłumacz, publicysta, wydał tom: „Baltijskij czajki”, 1975 i „Primorja”, 1980.

Iwan Zlatokudr, ur. 1930 w Winnikach koło Lwowa. Ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Wiersze ogłasza w prasie ukraińskiej i polskiej od 1961. W 1973 wydał książkę poetycką „Nadrodni Polski”. Przełożył na język ukraiński m.in. utwory Kochanowskiego, Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego, Staffa, Czechowicza, Piętnarowicza, Różewicza, Przekłada również poetów włoskiego renesansu, wiersze Rymian, Byrona i in.

ALEKSANDER LATKIN

WILCZE PRAWO

Wilki biegały śladem psiego zaprzęgu, wijącym się w górę rzeki. Droga zbliżała się czasem do brzegów, a gdzieś tam prowadziła w głąb lasu. Basior biegł truchtem z nisko opuszczoną głową. Nie mógł nadążyć za stadem. Z boku wydawał się mogło, jakby weszły. To kula uszkodziła mu mięśnie szyi i utkwiała w pobliżu krętni. Pozostałe cztery wilki wiedziały, że jest ciężko ranny. Wyczuły to od razu, kiedy usłyszeli strzelający do nich helikopter.

Biegły po omacku. Warczały, kiedy huk ich dosięgał, przyciskał do ziemi, ale dźwigały się dalej, dając ku gestwinie, osniewionej i bezpiecznej, gdzie nie mógł ich dopaść ból. Jeśli kula trafiłaby któregoś z nich, to basior rozszarpałby go od razu. Ale kula trafiła w szyję basiora. Teraz biegł za stadem. Z otwartej paszczy na osłepiająco biały śnieg spływała żółtawa piana. Słońce wznosiło się nad niebieskawobiałym wzgórzem wulkanu. Prawie dotykało okragłego, lesistego wierzchołka, polyskującego łysina, z której sterczały szare bryły skał. Z wilczych mord buchały obłoczki mętnej pary.

Basior biegł teraz cały czas na siebie. Wkrótce przystanął i popatrzył za siebie. Pozostałe wilki także przystanąły i popatrzyły na niego. A on biegł szybko. Szary cień, migający na tle białego, polyskującego śniegu. Słońce zaszło do połowy. I śnieg zgasił. Stał się biały. A cienie na lodzie od przybrzeżnych drzew, ciemnoniebieskie. Z lasu wypęłzał szary zmierzch. Ochłodziło się.

Mordy zwierząt pokryły się szronem.

Basior przemknął obok nich. Zgarbiony cień na śniegu. Wilki wydały przytłumiony jęk. Odpowiedział im głośnym wyciem, a one podkuliły ogony.

Siedzieli go tylko wzrokiem.

Wkrótce oddalił się od nich i mógł zaskoczyć od gwałtownego bólu w szyi i w głowie.

Słońce zaszło. Szybko ciemniało. Drzewa czerniały w mroku zlewając się w zwartą ścianę. To zmierzch przechodził w czern.

Basior zmęczył się, osłabił z bólu, ale starał się biec szybciej. Zatrzymał się na zakręcie, gdzie ślady psiego zaprzęgu skręcały i niknęły w nocnej tajdze. Nie było nikogo.

Nad odległym, zgarbionym łańcuchem wulkanów płynął purpurowy księżyc nie oświetlający jeszcze drogi. Cisza szczała.

Stado zostawiło basiora. Zaskomlał i pobiegł dalej drobno przebiegając silnymi łapami. Na skraju jaru przystanął i zawył. Długo stał i wyl. Potem zwałił się na brzuch, wyciągając przednie łapy.

Księżyc stał się biały. Wznosił się ponad lasem zimno świecąc basiorowi w lewe oko. Czarne niebo skrzyło się miliardem gwiazd. Zimowa, nocna tajga zastygła w chłodnym śnie.

Basior dotarł do miejsca, gdzie stado zatrzymało się i zboczyło ze szlaku. Stado porzuciło go. Porzuciło, nie pożerając, chociaż od kilku dni głodne zwierzęta grasowały w tajdze.

Błady księżyc wznosił się wysoko,

zalewając niebieskawym światłem

tajgę, czerniejącą drzewami. Stado odeszło wzdłuż niewielkiej rzeczki. Basior biegł po śladach. Często przystawał i kiwał się. Wyl trwożliwie. Było bardzo zimno. I rana przestała boleć. Długa sierść na szyi zamarała w sopel lodu. Nie wiedział dlaczego, ale wracał do stada. Biegł mu naprzeciw. A ono przecinając krzywiznę szybko posuwało się w górę z nurtem rzeczki.

Wiatr obiecywał rychłe spotkanie. Nagle pochwycił zapach zająca i zobaczył poruszający się kłębek. Natychmiast wpół kły w drgające ciało. Zając jeszcze żył, kiedy ciepła krew dotarła do żołądka. Chciwie pochłaniał żywe mięso. Rana zacięła.

Księżyc rozlewał blade, obojętne światło.

Długo kreślił się w miejscu, zanim położył się zwinęty w śniegu. Śnił, że stado wróciło, że nigdy nie odchodziło, wyciekając odpowiedniego momentu, aby go pożreć. Jego, który powinien teraz powoli umierać.

Budząc się zawył. Zamierzał zerwać się do skoku, ale silne ciało już rozleciało się na żywe kawałki. Krew chlupała ciemnymi strumieniami, czerniąc polyskujący w księżycowym świetle śnieg.

Wilcze prawo zatriumfowało. Wilki siedziały nie opodal ciemnego pętla na śniegu, obliżując mordy i świdrując się nawzajem oczyma.

Księżyc wznosił się nad wierzchołkami gór. Stał się krwawy. Zrobiło się ciemno. Gwiazdy na czarnym niebie zaświeciły jaskrawiej. Było cicho, cicho...

POŻAR

Wczesnym latem 1979 roku na tajgę spadła niszcząca lawina upału. Mładość rośliny i drzewa, usychały trawy, matowiło igliwie. Ogień trawił las.

Trzaski wyładowań elektrycznych rozrywały niebo, a pożary pochłaniały ziemię.

Góry za zasłoną z dymu, niewidoczne i dalekie, ożywały, kiedy powiał silny wiatr, odsłaniały ciemne lasy. Wiatr zamierał i ich szare, płaskie sylwetki znów mgliście przynosiły horyzont. A w głębi serca rodziła się tęsknota za przejrzystym, głębokim niebem.

W lesie zapanowała skwarna cisza. Dzień gasł. Bursztynowy zmierzch niepostrzeżenie przechodził w mroczną noc.

Pośrodku bagnistej doliny, porośniętej brzozy, wątlwym łaskiem leżały dwa jelenie. Z nadejściem ciemności podniosły się i zaczęły strzyc uszami. Patrzyły w stronę gór. A góry rozciągały pulsujące smugi ognia. Ogień był jeszcze daleki i cichy.

Jelenie pobiegły na zachód, w kierunku rzeki.

Wiatr nasilił się. Pożar nadciągał nad dolinę. Niepohamowana ściana ognia, gnana wiatrem zmierzała ku rzece. Przed północą dolina i przybrzeżny las płonęły. Ogień syczał i huczał z całą siłą. Lizał ziemię, rozżarzał pnie drzew, raptownie wspiął się w górę i rozsypany na gałęziach. W czarnej głębi lasu drzewa skrzyły się jak byskawice.

Zwierzęta tknięte przeczuciem biegle w stronę rzeki. Przez gestwinę przedzierał się łos. Głośno ryczał. Krakały wrony. Któreś ze zwierząt przenikliwe i bezustannie krzyczało. Las ogarnęła panika.

Mały koziołek zdążył, zastąpił na wysokich, cienkich nóżkach. Podniósł wysoko mordkę i bezradnie zapłakał. Dawno zgubił matkę i karmila go pierwsza napotkana na drodze koza. Potem zerwał się z miejsca i jak strzała pomknął naprzód.

Ogromna, na pół nieba, krwawa łuna gwałtownie zbliżała się. Za mgłą jaskrawo palił się księżyc.

Ogień szedł po dwóch stronach rzeki. Rozpaczliwie zaszczekał kozioł. Małe zwierzątka: wiewiórki, gronostaje, zające wysypały się na brzeg rzeki. Czarna, wzburzona woda polyskiwała czerwienią. Jednoczyła wszystkich.

Koziołek przedostał się na wyspę. Na szerokim mokradle zebrało się pełno zwierzyń. W gestwinie wyły wilki. Ujadaly lisice. Odblask ognia skrzył się w skamieniałych oczach zwierząt. Nikt nie zwracał uwagi na koziołka. A on pobiegł w głąb wyspy i położył się w mokrym mchu.

Nad ranem pożar dotarł do wyspy. Wokół buszowało morze ognia. Tajga płonęła. Słońce wydawało się krwawe od pożaru. Powiał silny wiatr i drzewa przenikliwe zaskrzypiały. Potem z łoskotem zaczęły padać na ziemię, wzbijając chmury popiołu. Tajga dogorywała. Ze zwęglonej ziemi syczący się kłęby białego dymu. W powietrzu krążyły strzępki popiołu. Powoli spadały w dół.

Nie nie naruszało ciszy. Ziemię obejmowało bezbrzeżne milczenie. Wtem z lasu, od strony rzeki wyskoczyły dwa jelenie. Ogromnymi, wysokimi skokami pokonywały pogorzelisko, rozświetlone nikłymi promieniami porannego słońca. Krzyk jednego z nich rozzerwał ciszę, panującą w zniechęconym powietrzu. Drugi rozpaczliwie skowyczał z bólu. Zwierzęta miały do żywego mięsa nadpalone nogi. Z kopyt zostały żałosne kikuty, a skóra na bruchach pokryła się fioletoowymi pecherzami.

Niespodziewanie z nieba popłynęła długo oczekiwana ulewa. A rankiem ptaki już wesoło świergotały. Przerazliwie krzyczał jedynie wygłodzony koziołek, którego ślady zostały na mokradle płonącej wyspy. Za nim szła koza. Wśluchiwała się w poranne powietrze.

Przekład:

DANUTA ROSIŃSKA

PLASTYKA

Co dwa lata Kraków staje się stolicą światowej grafiki, co dwa lata kolejne biennale ściga do lokalnych wystawowych na placu Szczepańskim nie tylko graficzne odbitki, które trzeba rozwiesić mądrze i sprawiedliwie, ale ten cały zgiełk i szum, bez których nie może się odbyć żadna wielka impreza. W blasku fleszy i telewizyjnych reflektorów, w szmerze odbywanych na gorąco wywiadów i improwizowanych dyskusji, wśród różnorodnego tłumu rażno przemierzającego sale wystawowe, główny cel imprezy — przegląd i konfrontacja bieżącej sztuki graficznej, powstającej w świecie — jakby schodzi na dalszy plan.

W tym roku pojawiła się jeszcze dodatkowa okoliczność, odbierająca na jakiś czas sztuce jej kontemplacyjny, „nierynkowy” charakter. Okazała się nią aukcja grafik, podarowanych przez artystów na rzecz rewaloryzacji Krakowa. Cel społeczny chlubny i równie chlubna szlachetność artystów, z których wielu nie widziało w życiu nie tylko Krakowa, ale i niewiele wiedzą o jego zabytkach, ale aukcja zawsze rozpala inne namiętności niż te, w których ciepło może się ogrzać prawdziwa sztuka.

Tak też było podczas owej dwukrotnie zresztą odbytej aukcji w Krakowie. Zgromadziła ona nie kolekcjonerów prywatnych, ale przedstawicieli „Desy” z całej prawie Polski, przyjeżdżających tu „za chlebem”, jako że nieczęsto to raczej okazja handlować zagranicznymi dziełami sztuki najnowszej. Wśród liczących się na siebie również przedstawicieli „Pewexu” (grafiki za dewizy?) oraz kilkunastu jeszcze najprzeróżniejszych inwestycji z samej swej nazwy tak dalekich sztuce, jak Zakłady Zbożowe czy ZPC „Wawel”. Te ostatnie zresztą wylicyływały niezwykle wysoko grafikę łódzkiej debiutantki na biennale — Barbary Rosiak, której dzieło pod względem ceny pobiło tylko kilku renomowanych Japończyków, Amerykanin i Jugosłowianin.

W tej sytuacji rozważania, czym jest grafika dziś i co daje jej krakowska impreza wymagają wsparcia minimalnym choćby dystansem czasowym, jaki dzieli nas od emocji związanych z otwarciem 8 Międzynarodowego Biennale Grafiki.

Więc przede wszystkim rzucić się w oczy niezwykły rozrost technologicznej sprawności grafiki. Dziś warsztatowa precyzji — na robota na takim poziomie, jaki reprezentuje np. Leszek Róga, nie jest już rewelacją. Równie dobrym warsztatem posługuje się dziesiątki artystów z Europy, Azji i Ameryki i trudno nawet powiedzieć, czy ktoś jest pod tym względem lepszy a ktoś gorszy. Bardzo pięknie pracują w technikach akwaforty i akwatynty artyści z RFN, Szwecji, Czechosłowacji, Francji, Wielkiej Brytanii; budzi podziw mistrzostwo rysunku twórców radzieckich i amerykańskich, nie mówiąc już o znanej finelnej Japończyków, którzy opanowali to, co jest w sztuce najtrudniejsze — wyrażanie umiaru.

Coraz bardziej też zwyciężył marsz grafiki kolorowej: stara się zepchnąć swą czarno-białą antenatkę na pozycje nie-modnej i smutnej babci, błędnej przy przebojowej wnutce, jaką jest współczesna technika drukarska, zapędzona do robienia sztuki. Serigrafia, offset, kserografia, kolograf — te nowe techniki dają barwny i szybki efekt, czego nie może zapewnić pracochłonny drzeworyt i linoryt czy też tradycyjna akwaforta, akwatinta, miedzioryt, cynkografia, mezzotinta itd. Ale że we współczesnym świecie sztuki dopuszczalne jest wszystko, przeto na biennale dzielnie z sobą koegzystują techniki najstarsze i najnowsze. Zgodnie z zasadą, że gigantyczny eklektycyzm i totalny chaos są nieodmiennie podstawą twórczego fermentu, który uskrzydla artystów przed dalszymi próbami i eksperymentami a odbiorców sztuki nasycia intelektualnie. Takie przynajmniej musiało być założenie jury kwalifikującego prace na wystawie.

Tymczasem widz wpuszczony do największej galerii BWA w Krakowie, staje

mocno bezradny wobec natłoku różnorodnych koncepcji sztuki, wykonywanych różnorodnymi technikami graficznymi. Nie wie dlaczego jeden artysta przedstawia możliwe najwinniej wiejski pejzaż, na którym da się dojrzeć najmniejsze żdźbło trawy a drugi artysta zadowala się kilkoma kreskami lub punktami rzuconymi na białą płaszczyznę papieru. Nie wie czy wartościowsza jest praca oparta na mistrzowskim rzemiośle graficznym, gdzie każdy szczegół to ślad ręki artysty pracującego rytcem, czy też liczy się sam pomysł wykonany maszynowymi sposobami przenoszenia i utrwalania obrazu.

To samo można powiedzieć o miejscu fotografii, jako współczesnym tworzywie sztuki a więc i grafiki. Na wystawie dopuszczono trochę prac, które powstały przy użyciu aparatu fotograficznego. Fotografia jako surowiec dzieła — przed dalszą jeszcze obróbką za pomocą klasycznych w plastyce metod — i fotografia jako pierwszy i ostateczny zapis artystyczny, są tylko pozornie sobie bliskie. W pierwszym przypadku spełnia ona tylko

CZyste Powietrze i mdy pieprz

rolę pierwotnego rysunku, w drugim — jest ostatecznym tworem artystycznego pomysłu i dziełem samym w sobie. Ta pierwsza bliższa jest mimo wszystko grafice rysowanej ręką artysty, ta druga z grafiką nie ma nic wspólnego, gdyż jest fantomem nowej teorii sztuki, głoszącej, że nie dzieło jest najważniejsze, lecz tylko sama prowokacja intelektualna.

Dlatego też ekspozycja, mieszająca z sobą beztrochę te dwa gatunki nie uczy niczego. Stawia najwyżej pod znakiem zapytania sens tego gatunku, który jest mniej liczny. A że na wystawie gniotącą przewagę ma jednak grafika tradycyjna, więc los fotografii jako medium nowej sztuki, jest z góry przesądzony. Ekspozycja biennale ma wykażać nijakos i miłośność tego medium i czyni to całkiem sprawnie. W ten sposób zabiegami organizacyjnym niejako odbywa się zwycięstwo tradycji nad awangardą i wszyscy graficy warsztatowcy mogą odetchnąć z ulgą. Są lepsi, a krakowskie biennale wróży im długi artystyczny żywot. I o to chodzi.

Poszukajmy zatem na gigantycznej ekspozycji krakowskiej odpowiedzi na pytanie, jak współcześni graficy — zwolennicy tradycyjnej roli, jaką spełnia od wieków grafika — ilustrują nasz czas. I jak widzą w nim miejsce człowieka.

I od razu trzeba powiedzieć, że człowiek często jawi się na wystawionych rycinach. Chętnie przedstawiają go artyści europejscy, kanadyjscy, twórcy z Ameryki Południowej. Tylko, że człowiek, jego sylwetka, twarz nie są bohaterami tej sztuki. Są ornamentami równoprawnymi z innymi przedstawianymi przedmiotami, równoprawnymi z płamami i kreskami tworzącymi kompozycje rycin. To tylko w pracach Niemki Sonji Hope, Polaków — Ireneusza Pierzgańskiego, Małgorzaty Wasung, Wincentego Dunikowskiego, Amerykanina Charlesa Rotha, Norwega Terje Roalvda i Japończyka Toshio Yoshizumi człowiek nie jest ornamentem a wartościową humanistyczną i źródłem głębszego przeżycia artystycznego.

Na blisko tysiąc prac, na ponad 400 autorów to niewiele. Nie zgadza się to więc z powielanym przez krytykę twierdzeniem, że współczesna sztuka rehabilituje człowieka, jako autonomicznego bohatera, nadającego dziełu wymiar szczególnie hu-

W KREGU SZTUKI

manistyczny. Może gdzieś indziej rehabilituje zresztą. Na biennale na pewno nie.

Humanistycznych a więc nie tylko estetycznych motywów robienia sztuki szukałbym więc w czymś innym. W tym mianowicie, w czym grafika ma rzeczywiście wiele do powiedzenia. — Jak tropienie i utrwalanie śladów ludzkiej działalności i ludzkiego bytowania.

W tym przodują niewątpliwie artyści japońscy, potem może amerykańscy i z innych krajów zmęczonych cywilizacją techniczną. Drobne żdźbła, okruciny przyrody w pracach Japończyków urastają do rangi wielkiej sprawy, drobne i banalne przedmioty codziennego użytku, jak miarki centymetrowe, grzebienie, ołówki, zaczynają żyć na japońskich grafikach własnym ciepłem przetrwania, które przekazał im człowiek. Asada Hiroshi, Matsutani Takesada, Kunito Nagaoka, Toshi Morinoh, Shinko Nakazawa uczą Europejczyków — wyzywających się w wymyślnych formach — pokory i kontemplacyjnego umiaru. Dla europejskich artystów, którzy wciąż nie mogą oderwać się od baroku, przerabiając go na różne sposoby i spazmatycznie trawiąc jego historyczną wielkość, lekcja Japończyków jest zawsze pouczająca.

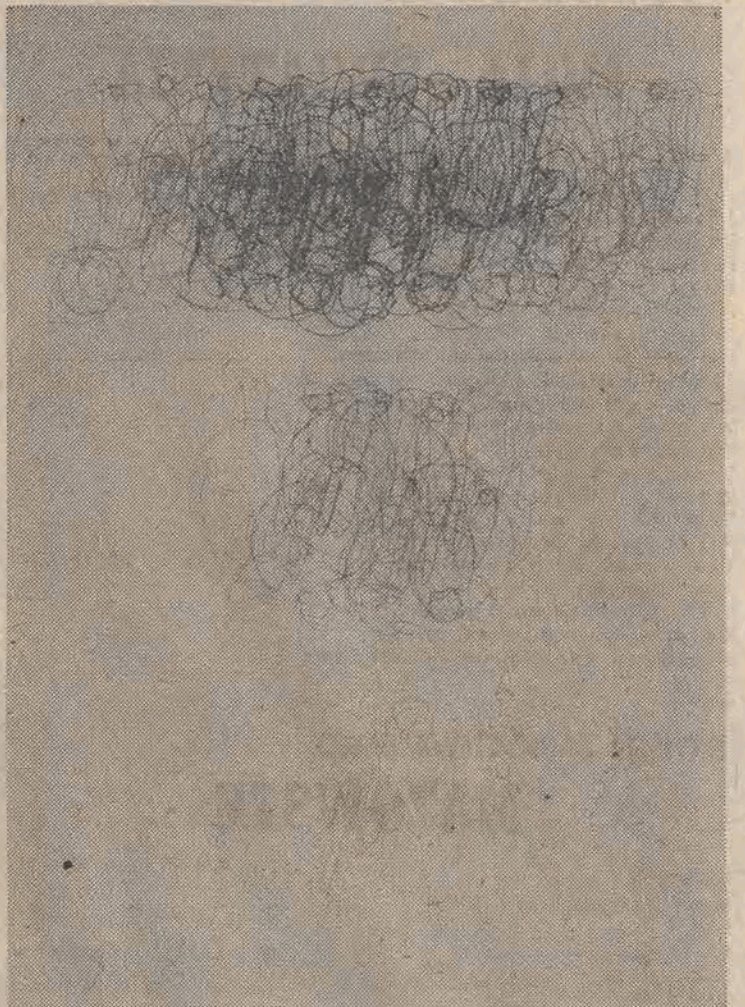
Podobnie Amerykanie, którzy swoją purytańską tradycję w sztuce dziewiętnastowiecznej kontynuują z powodzeniem do dziś. Wspomniani już Roth oraz Carol Quint, Joe Price, Wanda Matthews Miller, Leonard Lehrer i najbardziej chyba celujący w poetyce prostoty Peter Baczek, pokazują jak banalny dach szarego domu, jak najzwyklejsza sprężynowa waga, jakis tam zdeptyany skwer itd. stają się źródłem wzruszeń związanych z szarą codziennością człowieka. Uważać więc należy, że ta sztuka, powstająca z innej tradycji jest mądrzejszą alternatywą europejskiego baroku, któremu ulegają i nasi polscy artyści.

Świat się dziś skomplikował a chaos sztuki dobrze odzwierciedla zmaganie ludzi o zachowanie własnej tożsamości. Tej tożsamości nie daje mu przecież ani poczucie bezpieczeństwa materialnego ani nieskrepowany zdawałoby się rozwój intelektualny. Artyści, którzy proponują bądź to rozbuchany estetyzm form i znaczeń, bądź też starają się geometrycznie i komputerowo porządkować świat, są pewnie równie bezradni jak twórcy japońscy i amerykańscy, których społeczeństwa nasyciły się konsumpcyjnym rajem. Ale ci, którzy proponują wyjście z chaosu poprzez śledzenie artystycznym narzędziem spraw i rzeczy najprostszych mają chyba rację. Sztuka nie jest bowiem w stanie odpowiedzieć jak żyć, aby żyć mądrze, ani też jak rozumieć świat. Ale sztuka pozwala uczyć takiego patrzenia na rzeczywistość, za którym idzie prosta radość z dostrzegania i ufnosć w działające na razie jeszcze prawa przyrody.

Dlatego wystawę krakowskiego biennale, otwartą do końca lata polecam nie tym, którzy chcą coś tam nabyć dla własnej kolekcji i otrzeć się o plejadę wielkich nazwisk w sztuce jak Robert Rauschenberg, Ay-O, Getulio Alviani, Joan Ponc. Niewiele zresztą daje i lista tegorocznych nagród, a Grand Prix dla Czechosłowaka Albina Brunovsky'ego jest zwieńczeniem wyznawanej przez jury zasady, że liczy się wciąż barok wzbogacony techniczną doskonałością wykonania. Nie, wystawę tę polecam, tym którzy w natłoku efekciarzkiej produkcji, czym wdzięczy się współczesna grafika warsztatowa, potrafią znaleźć dla siebie prostą radość obcowania z prostym dziełem sztuki. Prostem — to nie znaczy prostackim, czym w gruncie rzeczy jest mnóstwo tych iskrzących się kolorami plansz, wykonanych skomplikowaną techniką i przyprawionych mdłym pieprzem wieloznacznym bylejakos, która ma być subterfitem nie istniejącej idei.

Ta idea, ludzkie przesłanie moralne tkwi w pracach najprostszych, których jury nie ośmieliło się preferować a przybyli na aukcję tłum zauważył, obśmawiał i kupił. I po to warto było pojechać do Krakowa.

GUSTAW ROMANOWSKI



Tadeusz Nuckowski, Polska — III nagroda „O zachowaniu się jutro”, linoryt.



Hiroshi Asada, Japonia — III nagroda „Cisza”, akwaforta. Foto: A. Wierzbę



Teatr im. St. Jaracza wystąpił z premierą sztuki Grigorija Gorina „Fenomeny”, w reżyserii Jerzego Hutka. Na zdjęciu — Zofia Tomaszewska, Jan Hencz i Włodzimierz Kwaskowski.

MUZYKA

prezentując dzieło pełne energii i witalności.

Niewątpliwie takie odświeżenie ogranej pozycji repertuarowej sprzyja jej recepcji, jednak stylistyka neoromantyczna wymaga głębszego odczytania utworu. Cała interpretacja nastawiona była na ekstatyczny triumf „dokonania”, pomijając warstwę „niespełnienia”, tak charakterystyczną dla twórczości Francka, przejawiającą się w specyficznym kształtowaniu frazy, akcentowanej na końcu. W zawyżonej głośności orkiestry zatarła się owa delikatna tkanka subtelnej różnicowania barw instrumentów, tak ważna dla zrozumienia szczególnego klimatu tej muzyki.

Jak się wydało, najlepiej mieściła się w metier dyrygentem Jacka Kasprzyka Uwertura koncertowa E-dur op. 12 Karola Szymanowskiego, będąca w 1906 r. koncertowym debiutem młodego kompozytora, znajdującego się w tym czasie w orbicie wpływów Regera, Skriabina a przede wszystkim Ryszarda Straussa.

Pełne blasku wykonanie znakomicie podniosło walory tego młodzieńczego utworu mistrza z „Atmy”. JACEK KRAKOWSKI

ROMANTYCZNOŚĆ FAŁSZYWA I PRAWDZIWA

tomiał spuściznę filozoficzną po wielkiej muzyce przejęła ta własna muzyka, która ją odrzuca.”

We współczesnym życiu istnieje coraz bardziej dający się zauważyć niedowład uczuć. Człowiek lat 80-tych XX wieku nie ma czasu na naukę emocji, na pogłębienie ich w sobie; przyspiesza to co zna, bowiem nie musi się nad tym wysilać. Chętniej równa do dołu, niż stara się wzniesić ponad to, co zastał. Nie ma czasu, aby podołać się dziełu sztuki; niejako upoić się nim, gdyż nauczony doświadczeniem brukowych filmów i taniej literatury o-

czekuje szoku, zawiadnięcia nim poprzez coraz mocniejsze dawki wstrząsających sensacji. Na owym braku dobrego i wykształconego gustu wygrywa ostatnio najbardziej muzyka Krzysztofa Pendereckiego. Stanowi ona eklektyczny stop (nie mówię tu o dziełach wybitnych z wcześniejszego okresu takich jak np. II Kwartet smyczkowy) dobrze znanych i przetwarzonych już elementów wyrazowych, zapożyczonych z kompozytorów neoromantycznych i neoklasycystycznych, przygotowany do smaku ekscentrycznymi efektami instrumentalnymi. Opierając się na obiegowych wzorach świadomości moralno-filozoficznej (Biblia) Penderecki tworzy epigonijskie machiny o pompatycznych tytułach „Pasja wg św. Łukasza” czy „Raj utracony”, które odciągają niezorientowanych słuchaczy od prawdziwie wybitnych dzieł polskiej muzyki współczesnej, chociażby Serockiego czy przede wszy-

stkim Lutosławskiego.

Jedno z ostatnich tych pseudo-neoromantycznych dzieł, Koncert skrzypcowy, pisany w latach 1975—77 na zamówienie Towarzystwa Muzycznego w Bazylei i sławnego wirtuoza amerykańskiego Izaaka Sterna, usłyszeliśmy w wykonaniu Kaji Danczowskiej i orkiestry FL prowadzonej przez Jacka Kasprzyka. Jednocześnie utwór stanowiący potpourri z Ryszarda Straussa i Jana Sibeliusa (instrumentacja), Albina Berga i Karola Szymanowskiego (kształtowanie rytmiki), Igora Strawińskiego (rytmika), jawi się jako bezstylowe monstrum, pozbawione określonego wyrazu muzycznego i emocjonalnego. Należy tu podkreślić ogromny wysiłek Kaji Danczowskiej grającej pięknym, śpiewnym dźwiękiem, usiłującej scalić ową muzyczną szarpaninę oraz Jacka Kasprzyka, który jednak nie zawsze dobrze wywiązywał się ze swego zadania, zagłuszając często masą orkiestry grę solistki. Na szczęście sam kompozytor na niedawnej konferencji prasowej stwierdził, że okres romantyczny uważa już w swej twórczości za zakończony. Jego ukończenie ma stanowić II Symfonia napisana dla Zubina Mehty, szefa orkiestry filharmonicznej w Los Angeles.

Drugą część koncertu wypełniła Symfonia d-moll Cezara Francka. Na jej prapremierze w 1889 r. Gounod stwierdził, że jest ona najlepszym przykładem nieudolności twórczej kompozytora. Utwór należy do arcydzieł światowej symfoniki, w którym bachowski polifonia i XIX-wieczny system napięć harmonicznych złożyły się na nową i niedoścignioną syntezę. Symfonia, jedyna w dorobku kompozytora (pomijając młodzieńczą G-dur z 1841 r.), składająca się z trzech części, stanowi kwintesencję oryginalnego stylu Cezara Francka, łączącego w sobie osiągnięcia muzyki niemieckiej i francuskiej, wskazującego jednocześnie drogę harmonice Debussy'ego.

Jack Kasprzyk zdawał się nie pamiętać, że dzieło to stworzył człowiek pełen melancholii, gorczy z doznanych niepowodzeń i mistycznej religijności, objawiającej się co prawda w dziełach często nie najwyższego lotu, zyskujących mu przydomek „fałszywego anioła”, nadany przez Marcela Prousta.

Znakomicie przygotowana orkiestra grała pod energiczną batutą młodego dyrygenta w sposób oświecający i efektowny, żeby nie powiedzieć — efekciarski, z przerysowanymi kulminacjami blachy, pokrywającymi brzmieniem smyczki,

OPOLE

Festiwal opolski nosił kolejny numer — osiemnasty. Znaczący to, że odbywał się już od osiemnastu lat i — przyjmując go według obywatelskich kryteriów — osiągnął swój wiek dojrzały. „Staje do matury” — jak to powiedział tuż przed rozpoczęciem imprezy jej inicjator i wieloletni organizator Karol Musiol, prezes Towarzystwa Przyjaciół Opoli, obliczając jeszcze w myśl dawnego kursu z siedmioletnią szkołą podstawową. Stwierdza-

FESTIWAL U PROGU DOROSŁOŚCI

jąc zatem, iż Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu jest już dorosły, zastanawiamy się, czy wszystko co w tym roku słyszeliśmy i widzieliśmy świadczy równie dobitnie o jego dojrzałości.

Przez ostatnich kilka lat — mimo iż na przykład przed rokiem obchodziliśmy państwowy jubileusz, co było świetnym pretekstem do rozmachu — wracaliśmy z Opoli w nastroju raczej minorowym, co znajdowało swój wyraz w recenzjach festiwalowych publikowanych na tych łamach. W tym roku było nieco inaczej; nie powiem, że festiwal był rewelacyjny, ale wreszcie coś zaczęło się dziać. Na początek przypomniały nagrody: dwie specjalne otrzymał Zbigniew Namysłowski i Izabela Trojanowska, pierwsza przypadła Ewie Bem z piosenką Figla i Zaorskiego, a taką samą równorzędną uhonorowano Andrzeja Rosiewicz, Korcz i Młynarski zostali laureatami drugiej nagrody w konkursie „Premier” za piosenkę w wykonaniu Alicji Majewskiej, wreszcie — trzecie nagrody przypadły Marii Jeżowskiej i Maryli Rodowicz, dla której utworzył przygotował Seweryn Krajewski i Magda Czaplińska. I może na tym skończymy, bo lista różnego rodzaju nagród, wyróżnień, promocji, stała się w tym roku wyjątkowo długa. Nie jest wykluczone, że jury pod przewodnictwem doc. Zbigniewa Kalemby z katowickiej Akademii Muzycznej wpadło po prostu w skrajność obserwując stojący na nieco wyższym niż w latach poprzednich poziomie koncert piosenek premierowych. Ja osobiście żałuję, że wśród dostrzeżonych przez jurorów nie było mojej faworytki — „Bierz mnie” Katarzyny Gaertner z tekstem Wojciecha Jagielskiego w bardzo interesującej interpretacji Maryli Rodowicz, której towarzyszył zespół „Gang Marcela”. W tej sytuacji jestem zmuszony ufundować swoją prywatną nagrodę (jeszcze nie wiem jaką) dla autora tekstu, a jeśli spotkam w Warszawie Kasie, to i jej pogratuluję tej stylowej kompozycji.

Postarano się o zapewnienie obecności na festiwalu „nowej gwiazdy”, na którą kreowano Izabelę Trojanowską — tę samą, która pod zgoła innym nazwiskiem zaprezentowała się w telewizyjnym serialu „Strachy”. No cóż, panienka (pardon: mężatka) robiła przed kamerami i mikrofonami wiele min, kroków i gestów, a dzięki temu obrano ją „Miss Obiektyw”. I słusznie. Jednak autentyczny sprzeciw zdaje się budzić przyznanie jej (za dość surowy śpiew, za zniekształcanie tekstu, za wyraźne przerysowywanie „rol”) nagrody specjalnej. Bo też jak wyliczać te nagrody obok innej specjalnej, którą otrzymał Zbigniew Namysłowski — człowiek od lat pokraczający kilkoma pierwszymi dźwiękami solówki przykuć bez reszty uwagę wielotysięcznej widowni, umiejący przemówić do słuchacza jako kompozytor w sposób

doskonały. Być może naraziłem się komuś pisząc te słowa, ale dysproporcja jest tu aż nadto rażąca.

Dziwić może — zwłaszcza bardziej przygotowanych do odbioru muzyki — fakt promowania przez komisję zespołu „Maanam”, produkującego utwory zbliżone nieco do mody „punk”. Części młodzieży z pewnością będzie się ten nurt podobać, lecz nie jest on dla naszej rodzimej muzyki rozrywkowej na tyle znaczący, by za wszelką cenę doszukiwać się w nim wartości. Bo równocześnie zwiększając liczbę solistów i zespołów wymienionych w komunikacie jury,

dyskredytujemy ich znaczenie na zewnątrz. Przecież w końcu poziom propozycji to jedna sprawa, a wybór najlepszych z nich — to druga. Cóż to będzie za festiwal, na którym wszyscy zdobędą nagrody, bo dźwignął się ponad przeciętność?

Teraz kilka nieco weselszych nut. Udało nam się w tym roku młodzieży w konkursie „Debiuty 80”. Grupa wykonawców zakwalifikowanych do koncertu finałowego w amfiteatrze to pewien „estradowy potencjał”, po który z pewnością będziemy mogli sięgnąć bez obawy. Szczególnie przyjemny jest fakt, że w gronie tym znalazł się też Zbigniew Zamachowski z Brzezin koło Łodzi. Był on laureatem tegorocznego Młodzieżowego Festiwalu Piosenki w Toruniu, gdzie również przedstawił się z najlepszej strony. W Opolu nie było gorzej — cały amfiteatr przyjął bardzo ciepło jego własną piosenkę wykonywaną w sposób trochę odlegający od konwencji, bo przy fortepianie, dla którego aranżacyjnym wsparciem był jeden dźwięk trzymany przez smyczki. Interpretacja „Kołysanki” spodobała się również delegatom z NRD, z festiwalu z Rostocku, i poza drugą nagrodą w „Debutach” Zbigniew Zamachowski powrócił z Opoli z jeszcze jedną nagrodą.

Skończyliśmy o występującej na opolskiej estradzie młodzieży nie sposób pominąć sekwencji z widownią przygotowanego przez Zbigniewa Czeskiego (reżyser), Jonaśa Kofie (autor tekstów), Antoniego Kopcia i Juliusza Loranca (kompozytorzy) dla adeptów studium Teatru Muzycznego PRITV w Chorzowie. Wielu animatorów rozrywki w naszym kraju z nadzieją spogląda w stronę tej „szkoły młodych talentów” i chyba rzeczywiście z owych pierwszych dwóch lat działalności wyłócić będzie można z tej grupy wokalo-tanecznej przynajmniej parę nazwisk.

Wachlarz imprez towarzyszących był w tym roku podczas Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki wyjątkowo szeroki. Poza występami warszawskich teatrów rewiowych „Syrena” i „Na Targówku”, zobaczyć można było także program przygotowany przez Estradę Poznańską, a oparty o artystów kabaretu „Tey”: Zenona Łaskowika, Bogdana Smoleń, Rudolfa Schuberta... W zestawie większych form znalazł się też śpiewnik śląski zatytułowany „Pozłaczany warok”, za który Katarzyna Gaertner otrzymała Grand Prix. Warto dodać, że teksty do jej muzyki napisali: Ernest Bryll, Małgorzata Goraj, Wojciech Jagielski, Tadeusz Kijonka i Agnieszka Osiecka. Rzesza wykonawców piosenek o partych na śląskich motywach ludowych była w tym wypadku wyjątkowo liczna. Ale to nie wszystko: w piątek w Teatrze im. Jana Kochanowskiego, tradycyjnie już będącym „drugą sceną” festi-

walu, odbyły się dwa programy „Wariacje na temat...” (przedstawiali tutaj swoje piosenki wykonawcy z ruchu studentckiego) oraz „Wciąż o tym samym” (ustłyszeć można było piosenki aktorskie). Właśnie tutaj znaleźli laureata swej nagrody dziennikarze akredytowani przy festiwalu; został nim studentki bard Jacek Kaczmarski.

Trawestując tytuł jednego z poprzednio wymienionych programów: dostaję wariacji poruszających ten temat. Konferansjerzy. Czy naprawdę nie ma w naszym kraju jednej młodej i ładnej kobiety, która potrafiłaby poprowadzić czy choćby współprowadzić koncert w opolskim amfiteatrze? Aktorka Grażyna Szapolowska zdecydowanie się do tego nie nadaje: czyni ze wszystkiego dramat, a jej tekst podczas koncertu finałowego „Mikrofon i ekran” brzmiący dokładnie: „Ja mam tremę, a państwo mi przeszkadzają” był rekordem w tej materii. Jak można z proscenium odebrać się w ten sposób do rozstawionej widowni? Nie sprawdził się, moim zdaniem, także Bogusław Sobczuk, a i Tadeusz Drożdża czuł się w tej roli trochę nieswojo (stał liczne pomyłki, zwłaszcza w „Premierach”). Jedynie Andrzej Jaroszewski był preterem kulturalnym i fachowym z prawdziwego zdarzenia. Nic dziwnego, wszak muzyka i estrada to jego chleb powszedni.

Orkiestry poznańska i katowicka pod dyktando Zbigniewa Górno, Jerzego Miliana i Andrzeja Marko spisały się dobrze przygotowując obszerny materiał, ale poważne zastrzeżenia budzić mogła reżyseria festiwalu. Szczególnie pierwszy koncert pod piastowską wieżą rozlał się w szwach i nikt nie był w stanie na to cokolwiek zarządzić.

Oczywiście, nie było to zbyt jaskrawo widoczne podczas transmisji telewizyjnych, ale odbywały się one tylko z wybranych imprez i z poślizgiem. Myślę, że nasze ekipy telewizyjne są na tyle sprawne by przynajmniej „Premieri” i finał transmitować bezpośrednio. Tym samym nie odbierze to przyjemności uczestniczenia w festiwalu milionowym rzeszom telewizorów. A gdyby tak było, z pewnością więcej niż teraz osób wiedziałoby, że w jednym z sektorów amfiteatru siedziała spora grupa młodocianych klakierów, którym zaufano bilety. Organizatorzy przyznali się do nich sami mówiąc, że chodzi jedynie o rozświetlanie amfiteatru, a oni stają się ważnym ogniwem (namolnie lansowana piosenka „Od rana mam dobry humor”). Okazało się jednak, że grupa młodych ludzi wykorzystywana jest wkrótce też do innych celów... stwarzających atmosferę zabawy i pełnej aprobata. A przecież sami bez żadnych sugestii potrafimy ocenić festiwal.

A co poza tym? Bo wiem, że w epilogu przyda się parę luźnych spostrzeżeń. Otóż, po raz pierwszy miejsca dla dziennikarzy zarezerwowano w sympatycznym, wyposażonym w znakomitą kuchnię „Zajezdzie Kasztelańskim”, gdzie obok jedynek i dwójek są także niestety pokoje trzyosobowe, podczas gdy w domu akademickim „Kmicie”, w którym kwaterowano nas wcześniej... Otóż, nie przybyło stolków w restauracji hotelu „Opole”, gdzie od lat koncentruje się nocne życie festiwalowe i stąd nieustannie wysiłek z amfiteatru po zakończeniu koncertu trwa (chwała, że ktoś — jak my — ze znanym łódzkim muzykiem — wyrobił sobie „chody” u kierowniczki lokalu i ma „reserve”). (...) Otóż, jedynym gatunkiem wódki w tymże lokalu jest „Żytnia wyborna” zwana też „gastronomiczną” lub „erką”, co zdecydowanie nie sprzyja rozwinięciu dyskusji ponad obrusem, a przecież...

Jeśli chodzi o „Opole 80”, to przeszło już ono do historii. Dobrze, że zostanie nam z estrady amfiteatru choć kilka piosenek, bo w poprzednich latach gorzej bywało.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

PROZA

Najnowszy, kolejny tom wspomnień Jerzego Putramenta nosi tytuł „Poślizg”. Pierwotnie, gdy był drukowany na łamach „Miesięcznika Literackiego” oraz „Literatury”, nazywał się „Przełom”. Określenia, jak widać, emotywne ostre, zarazem zaś bardzo od siebie odległe. Wspominam o tym, bo są w jakiś sposób charakterystyczne dla całego cyklu „Pół wieku” — zdecydowane, nierzadko przesadzone, nigdy zaś nijakie.

We wstępie Putrament usprawiedliwia się: „Stara prawda: dopiero dystans przywraca wydarzeniu jego właściwe wymiary. Ile trzeba tego dystansu? To zależy od wydarzeń. Na gwałtowniejsze i piętnastu lat może być za mało”. I istotnie — nie o wszystkich sprawach z jednakim pisze dystansem.

Wypunktowałem w tytule dwie najczęściej występujące w Putramentowych wspomnieniach dziedziny, pozostają one tak ze sobą splecione, iż oddzielenie ich, nawet dla porządkujących celów krytyczno-literackich, staje się zupełnie niemożliwe. A przecież autor „Małowiernych” nie ogranicza się do polityki i literatury, nie pomija swego życia osobistego i różnych prywatnych kontaktów, zajmuje się nawet sportem, pisze o łowieniu ryb, turystyce, motoryzacji i wielu innych sprawach. Ze zrozumiałych względów niektóre nazwiska i wydarzenia kryptonimują, co nie przeszkadza, że niekiedy są one czytelne, zwłaszcza dla wąskiego grona bardziej wtajemniczonych. Nie o pikantne szczegóły czy sensacje tu jednak chodzi. Idzie raczej o atmosferę owych bogatych w wydarzenia, nadzieje, lecz także rozczarowania, lat 1956—1960, bo o nich właśnie najnowszy tom Jerzego Putramenta traktuje. Zawarte w nim zapiski nie pretendują do oficjalnej wykładni wydarzeń i stanowisk, mają charakter ośbistej refleksji, choć wiadomo, że był Putrament we władzach politycznych i literackich. Stąd też nie należy się dziwić pewnemu subiektywizmowi przekazu i oceny, bo on właśnie decyduje o specyfice pamiętnika, to on przecież uatrakcyjnia lekturę.

Czytelniczą uwagę przykuwają przede wszystkim precyzyjnie odwzorowane mechanizmy życia politycznego i literackiego sprzed dwudziestu kilku lat. Mechanizmy podyktowane były ogólną sytuacją, co i działalnością konkretnych osób oraz osobistością. Zasiłgu „Poślizgu” jest próba pokazania skali owej działalności, jej kierunku, wpływu wreszcie na dokonujące się w skali kraju (czy tylko Związku Literatów) przemiany. Jak również uchwycenie końca kariery i towarzyszenie narodzinom nowych, co jest w końcu zwyczajną cechą każdego okresu przetwarzania.

POLITYKA I LITERATURA

Własną sytuację w tym okresie autor „Bolidyna” tak charakteryzuje: „W końcu stycznia 57 roku moja osobista sytuacja wyglądała następująco: ze Związku Literatów wyeliminowany, zresztą bez żadnych z mego strony sprzeciwów. Wybrano mnie do Sejmu przy atakach... Właśnie z prawa? Z lewa? Jak określić pojęcie polityczne mego «typa»? W każdym razie nie miałem żadnej sytuacji przymusowej. Nie musiałem chwycić się kurczowo jakichś grup, dawać susów, fikać koziołków (...). Czyli mogłem się czuć «normalnie». To nie znaczy «dobrze». W tym czasie, w tej nowej rzeczywistości były sprawy, których nienawidziłem, i takie, których próbowałem bronić. To właśnie dowód «normalności» sytuacji. Prawo wyboru kierunku i tematu «walki». Tak też można określić przewodni temat „Poślizgu”.

Interesujących obserwacji dostarcza podróż, zwłaszcza wyjazdy do Związku Radzieckiego i kontakty z tamtejszymi pisarzami (wzruszające niekiedy, jak spotkanie z Panfirowem), a także z pozostałymi po wojnie w Kijowie Wandą Wasilewską.

Ani polityczne, ani tym bardziej literackie, wspomnienia w żaden sposób nie mogą obejść się bez anegdoty, bez dowcipu. Nadają one przecież swoisty kolor. Putrament w niczym nie uchybia owej prawdziwości. Raz powie o tym, „jak to Aleksy Tołstoj, podpisując sobie trochę na przyjęciu, podszedł do Stalina”.

— Wy największy polityk — powiada — ja największy pisarz, wypijmy na bruderszaf!

Stalin długo oglądał go w milczeniu, potem rzekł:

— Wy izwoliteł szutić, grafi”.

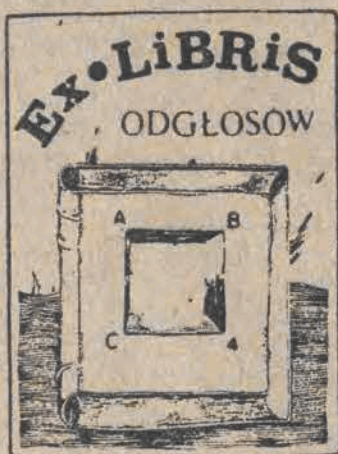
Innym razem, pisząc o naszej telewizji, wspomni mimochodem jej szefów: „O (Jerzym) Pańskim jako jej Mieszkowi I nie mam nic do powiedzenia. O Włodzimierzu Kędzierzawym i Maćku Zadziernym znacznie więcej, ale to w następnych tomach”.

Wspomnienia Jerzego Putramenta dają świadectwo jego politycznej i literackiej aktywności. Dają świadectwo twórczego niepokoju drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Z interpretacjami autora „Poślizgu” można się zgodzić lub nie — lecz nie można przejść nad nimi do porządku dziennego.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

J. Putrament — Pół wieku. Poślizg. Czytelnik, Warszawa 1960, Nakład 20 320 egz., str. 342, cena zł 50,—

KIEPSKIE ZMARTWYCHWSTANIE



Od kilku już lat każda nowa książka Romana Bratnego zaczyna czytelnika z obawą. Lękam się nowych wad i niedoskonałości ludzkiej obnażanych przez autora. We wszystkich, ostatnio wydanych pozycjach, Bratny, opisując współczesność, zalewa nas montażem świstów i świstawek, które są dziełem ludzi będących na tzw. świeczniku w danym środowisku. I za każdym razem wydaje się, że to co autor napisał, jest już kresem, że na więcej podłogi, chęciwości i oszustwa u niego zdobyć się nie mogą.

gą, a jednak za czas jakiś w innej książce mamy kolejną historię budowaną według tego samego schematu. Bohater, najczęściej człowiek z doświadczeniami wojennymi, były żołnierz, zastępcy, odznaczony, pełnił jakieś odpowiedzialne stanowisko. Świecnie sytuowany materialnie, posiadający wszystkie atuty, żeby być ogólnie szanowanym i cieszyć się autorytetem u podwładnych, przełożonych, w rodzinie. W każdym jednak z tych ludzi pali się niezdrowa żądza, żeby mieć jak najwięcej, znacząc jak najwięcej, nie pozwalając za wszelką cenę i wszelkimi metodami, żeby ktoś był lepszy. Od życia wzięli ile się da, nie oglądając się na nieszczęsnych po drodze. Dla własnej korzyści gotowi są poświęcić wszystko: żonę, dzieci, kochanki, szafszować prawdę, popełnić przestępstwo, być tylko niczego nie stracić z pozycji, zarobków, wygod. Nie istnieją dla nich żadne świętości, nie liczą się żadne uczucia, żadne więzy, jeżeli oczywiście nie pomagają w karierze. W tym też schemacie budowana jest mini-powieść „Kiepskie zmartwychwstanie”. Tutaj bohaterem jest naukowiec, historyk, profesor, kierownik placówki naukowej. W młodości zdradził brata, bo jego poglądy polityczne były niewygodne, związał się ze starszą od siebie kobietą, swoją szefową, ale i ją rzucił,

gdy jej pozycja zaczęła słabnąć. Z drugą żoną ożenił się tylko dlatego, że była jedynym świadkiem, mogącym powiedzieć prawdę o wypadku, jaki spowodował i oczyścić go z winy. Syna, który odkrył jego metody fałszowania prawd naukowych usunął z uczelni itd., itd. Całe życie w niestannych machinacjach, ani jednego zwykłego ludzkiego odruchu, ani jednego zwykłego uczucia, poza strachem.

Po lekturze książki Bratnego patrzę z przerażeniem na wszystkich, czy rzeczywiście wokół nas żyją same kanale, dranie i oszuści, czy żeby zrobić karierę, trzeba stać się odrzucającym moralnie, czy nie ma wśród nas normalnych ludzi i normalnych spraw, a nie tylko układy i twarda gra.

Następnie książki Bratnego już chyba nie przeczytam.

Roman Bratny „Kiepskie zmartwychwstanie”, Iskry, W-wa 1960, str. 112, cena zł 10.

ZOSTANIE MIT

Zainteresowanie historią naszego społeczeństwa jest ogromne i trwa od dawna. Wszelkie książki historyczne znikają natychmiast z półek, a publikacje w czasopiśmie dotyczące naszej przeszłości należą do najchętniej czytanych. Wypływa to niewątpliwie z naszych doświadczeń historycznych, ale jednocześnie dobrze świadczy o naszym społeczeństwie, które pragnie zachować ciągłość kulturową z przodkami, zrozumieć procesy społeczne i ekonomiczne jakie zaszły w dalekiej lub bliższej historii. Naprzeciw tym zainteresowaniom wychodzi książka Kazimierza Koźniewskiego „Zostanie mit”.

Książka powstała niejako z gotowego już materiału. Przez wiele lat autor w różnych pismach „pisywał na różne tematy nazywane historycznymi. Pisał o ludziach i sprawach, do których miał żywy stosunek”, których był uczestnikiem lub świadkiem. Po latach okazało się, że artykuły te miały ze sobą wiele wspólnego, a mianowicie, zderzenie z mitem, który już istniał lub dopiero się tworzył wokół niektórych ludzi czy zjawisk. „Z mitem tymi — jak pisze we wstępie Kazimierz Koźniewski — zawsze mam ochotę polemizować, dyskutować, niekiedy tylko objaśniać je lub komentować”. Tak więc artykuły te stały się podstawą do opracowania niniejszej pozycji. I w nowej wersji poszerzonej, bardziej udokumentowanej publikowane są po raz pierwszy. Książka obejmuje szkielet stanowiący jakby przegląd najważniejszych problemów ostatniego stulecia. Problemy pokazane są tu poprzez działalność pojedynczych ludzi: Dmochowski, Borejsa, lub poprzez przedstawienie ich w kontekście własnych do-

wiadczeń autora i sporego dystansu czasowego dzielącego go z wydarzeniami od momentu pisania o nich.

Kazimierz Koźniewski „Zostanie mit”, Książka i Wiedza, W-wa 1960, str. 253, cena zł 35.

NA SPALONY MIŁOŚĆ

Czas wojenny jeszcze przez wiele lat będzie obecny w życiu Polaków, jeszcze na długo nie będą tylko historią, a żywym, dotkliwie często bolejącym okresem w życiu wielu ludzi. Nie będą tylko wspomnieniem ludzi starszych ale ciągle istniejącym źródłem tragedii ludzkich. Ciągłe na nowo i w sposób najbardziej nieoczekiwany wojna daje o sobie znać, zmusza ludzi do ciągłych powrotów do najstraszniejszych i najbardziej okrutnych lat życia. Takim powrotem do koszmaru wojny jest książka Tadeusza Jasińskiego „Na spalonym miłości”. Bohater — Janusz Hubicki, młody, zdolny historyk, matry o karierze naukowej. Jako temat pracy doktorskiej otrzymuje zadanie opracowania „działalności” reakcyjnej grupy „Maria”. Janusz urodził się we wsi, w której „Maria” działała, (została zamordowana żona i syn sąłada). Wychowała go matka, ojciec pamiętał z głębokiego dzieciństwa, jako młodego jeszcze człowieka, gorąco kochającego jego matkę. Ojciec był jego największym przyjacielem i powiernikiem, obśypywał go prezentami, potrafił bawić się z nim całym gozdnim. Kiedy zginął, matka opowiadała mu o nim jako o do- brym człowieku, wychowywała go w kulisach miłości do niego. Już jako dorastający chłopiec Janusz zaczął dowiadywać się w jakich okolicznościach ojciec zginął. Ale dopiero przy zbieraniu materiałów do pracy doktorskiej dociera do niego, że ojciec był jednym z dowódców ugrupowania „Maria”, że to właśnie on w bestialski sposób zamordował rodzinę sąsiada. W miarę postępowania pracy obraz ojca, odsłania mu się w całej pełni. Ojciec, który dla niego był przedmiotem podziwu i miłości przez długie lata, staje się bandytą.

Ta interesująca, napisana żywym językiem książka, jest opisaniem tragedii młodego człowieka, który w pewnym momencie swojego życia zostaje pozabawiony tego, co w życiu liczy się najbardziej: miłości i szacunku dla rodziców. Wojna, która okrutnie okaleczyła psychikę ojca, czyniąc go bandytą nie oszczędza syna, każe mu czuć się odpowiedzialnym za jego czyn, tym bardziej, że kobieta, którą pokochał okazała się córką zamordowanej sąsiadki.

Tadeusz Jasiński „Na spalonym miłości”, Wyd. Lubelskie, Lublin 1960, str. 206, cena zł 16.—

Od wielu lat jestem namiętym czytelnikiem a ściślej, przeglądaczem starych czasopism, takich sprzed czterdziestu lat i więcej. Nie będę tu dziś cytował żadnych ciekawostek, pragnę natomiast zwrócić uwagę na jedno zjawisko. Oto w dziesiątkach przedwojennych tygodników z różnych lat i z różnych miast spotyka się ciągle te same nazwiska — jak starych znajomych, jak ludzi z tego samego towarzystwa. To zdumiewające, jak dużo ci ludzi pisało i, zdumiewające, jak łatwo zdobywali dostęp do tytułów. W każdym piśmie dziesiątki autorów; każdy autor w dziesiątkach pism. Arcybawna mozaika, ożywiająca wymiana zdań, natychmiastowa reakcja na zaczepkę. Niczego z tej atmosfery nie dostrzeżecie dzisiaj.

Dzisiaj składa się numer w drukarni z parotygodniowym wyprzedzeniem. Bardzo niewielka część rezerwowana jest na nieprzewidywalne aktualia, stąd przeważają treści ustale, ucukowane, nieomal ponadczasowe. Ale łatwo też dostrzec inną, nieznaną dawniej prawidłowość: redakcja każdego tygodnika to, co najmniej trzydziestu etatowych pracowników. To oczywiste, że takie grono wystarcza samo sobie w zupełności i nie odczuwa nagła-

cej potrzeby zamawiania materiałów u autorów spoza siebie.

Wystarczy przykład pierwszy z brzegu. Oto numer 25 wychodzący w Gdańsku tygodnika „Czas”. Czterdzieli czterech osoby zatrudnione etatowo i wymienione w stopce. Dwa-

współpracowników”, czyli takich którzy żyją z samej wierszówki nie biorąc stałego wynagrodzenia i nie są objęci powszechnym ubezpieczeniem, ale mają przynajmniej ułatwiony dostęp do druku. Na te innych pism „Odgłosy” prezentują się jako znacznie elastyczniejsze, mate-

TRZEBA MIEĆ ETAT

dziesiątka czterech kolumny druku, nie wiem w jakim nakładzie. Z tych dwudziestu czterech kolumn tylko trzy podpisane są nazwiskiem spoza etatowej listy plac. Trzy kolumny, czyli 12 procent całości. Jasne jest, że ci, którzy piszą, siedząc przy sąsiednich biurkach nie podejmą ze sobą żadnej wymiany zdań — oni są jedynymi w każdej sprawie, uzgodnieni co do przecinka. Zresztą każdy ma swoją specjalność i nie narusza terenów łowieckich sąsiada, a jednocześnie — musi przecież wykonać swoje obowiązkowe pensum, przepisać wierszówkę. „Kultura” zatrudnia 36 osób, „Literatura” — 35. Nasze pismo wymienia 15 członków redakcji plus 18 „stałych

riaty pozaredakcyjne wypełniające przeciętnie około połowy numeru. A zobaczcie stopkę „Szpilek” — toż to prawie książka telefoniczna!

Reasumując: trzeba być na etacie redakcyjnym, żeby mieć stałą szansę publikacji. Trzeba też być przygotowanym na to, że będzie się publikować wyłącznie w redakcji macierzystej. Co oczywiście nie znaczy, że kiedyś pisarze więcej zarabiali, bo więcej ich wszędzie drukowano. Zarabiali w ogromnej większości mało, na całym świecie, nie tylko u nas. Warunki finansowe zmuszały do tym obfitszej oisani, a czasem też do przeróżnych pomysłów. Felietonista francuskiej „L'Oeuvre”, George de la

Fouchardiere, zaprosił na przykład czytelników, aby nadsyłać felietony napisane jego stylem, a on je opublikuje pod własnym nazwiskiem: kto zgadnie, który utwór jest autentyczny, a który zmyślony?

Za odgadnięcie pomysłów pisarz przyznawał nagrody. Pewnie brali je zawsze krewni i znajomi Fouchardiere'a. Ale tak sobie myślę: czy w analogicznej sytuacji odgadłbym dziś wielu felietonistów? Oczywiście, kiedyś mowa o ogrodzie, różach i malinach — to Aleksander Małachowski. Kiedy o kolacji u Stępa z panem Głowackim — to Hamilton. Dalej już by było trudno. Ale nie szkodzi, nikt z piszących dzisiaj „murzy-na” szukać nie będzie. Jeśli będzie czegoś szukać — to etatu w redakcji.

CWIEK

OD REDAKCJI: Nasz miły współpracownik myli się. U nas współpracownicy „zabierają” ponad połowę redakcyjnej wierszówki, około 60 procent. Poza tym kilku autorów wymienionych w stopce redakcyjnej zaprzestało stałej współpracy i od jesieni — niestety — będziemy musieli skrócić ich nazwiska ze stopki. Sytuacja więc wcale nie wygląda tak optymistycznie w porównaniu z innymi pismami.

Kilka lat temu brązowy medalista z Olimpiady w Montrealu, a także członek zespołu, który na tej Olimpiadzie zdobył srebrny medal oraz członek zespołu, który w 1977 roku zdobył na mistrzostwach świata brązowy medal, Mieczysław Nowicki został nagle pozbawiony możliwości startów w kadrze narodowej i do dziś do końca nie wiadomo, dlaczego tak się stało. Teraz, na krótko przed moskiewską Olimpiadą kibice dowiedzieli się również niespodziewanie, że w drużynie kadrowej nie zmieścił się Ryszard Szurkowski. A przecież od dawna wiadomo było, że kolarz ten właśnie do udziału w tej Olimpiadzie przygotowuje się według indywidualnego programu. Czyżby się źle przygotował?

26 czerwca 1980 roku „Przebieg Sportowy” donosił: „Jedyną wiadomością przykrymą wiadomo — prawie na pewno, iż Ryszard Szurkowski nie będzie mógł wystartować w Tour de Pologne”.

Powodem tego była kontuzja. Jaką odniósł podczas kryterium o „Złoty Pierścień Krakowa”. Gazeta zamieściła wówczas wypowiedź trenera kadry kolarzy — dr Zbigniewa Rusina:

tomiasz Szurkowski w tym sezonie nie sprawdził się ani w Saksonii, nie wystartował w Reggioni, miał gorszy występ w Austrii. Uważaliśmy, że lepiej pozostawić mu wolną rękę.”

Dr Zbigniew Rusin celuje w składaniu niejasnych i sprzecznych wypowiedzi, sądząc zapewne, że kibice mają krótką pamięć i zaraz zapomną to, co trener kolarzy powiedział kilka dni temu, a uwiertzą w to, co mówi teraz. Ale jest inaczej. I dlatego kibic może zapytać, jak to dzieje się, że w jakimś czasie po oświadczeniu, że „Szurkowski w tym sezonie nie sprawdził się” można żałować, że Ryszard Szurkowski nie pojedzie w Tour de Pologne, że „plany stworzenia „wojny” na Tour de Pologne wzięły w łeb”, bo nikt tak jak Ryszard Szurkowski nie potrafi walczyć z kadry.

Mało tego. Następnego dnia z „Życia Warszawy” można było się dowiedzieć, że „trenerzy kadry szosowej wyjaśnili jeszcze przed kilkunastoma dniami”, oświadcza, że ich zdaniem Ryszard Szurkowski „na tak trudnej trasie, jaka jest w Moskwie, nie ma większych szans na sukces”. A więc oświadczył

MISTRZ ZA BURTA

„Jest to dla nas duża strata. Nasze plany stworzenia „wojny” na Tour de Pologne wzięły w łeb. Nikt tak jak Szurkowski nie potrafi walczyć z kadry, żaden rywal zagraniczny, a wiązaliśmy z taką bezpośrednią konfrontacją duże nadzieje. Wielka szkoda, że nasz mistrz nie będzie mógł stanąć na starcie.”

Mistrz rzeczywiście potrafił wygrać z kadry. Ryszard Szurkowski wspólnie z Jerzym Kuczką zdobyli niedawno tytuł mistrzów Polski w jeździe parali. Na początku maja 1980 roku wygrał kryterium MON. Był wówczas lepszy niż kadra na Wyścig Pokoju. Ale w Wyścigu Pokoju nie startował, bo wiadomo było, że przygotowuje się do moskiewskiej Olimpiady.

Co prawda, później w kilku imprezach zagranicznych, nie spisywał się najlepiej. Kiedy jednak kompletowano kadrę na obóz przedolimpijski w Zakopanem, Ryszard Szurkowski był zdrowy, pełen dobrych nadziei i nadal przygotowywał się do udziału w Olimpiadzie w Moskwie. Ale wśród uczestników zakopiańskiego obozu nie znalazł się, choć w obozie tym wzięli udział zawodnicy, którzy nie mieli żadnych szans, aby zakwalifikować się do kadry olimpijskiej. Wtedy to przedstawił „Naszej Trybuny” zapytał dr Zbigniew Rusin, dlaczego tak się stało. I usłyszał w odpowiedzi:

„T. Krawczyk nie jest brany pod uwagę na Moskwę. W tej chwili nie jest w wysokiej formie, ale to utalentowany 20-letni, perspektywiczny zawodnik. Chcemy go mieć pod ręką. Na-

to przedtem nim dr Z. Rusin żałował, że R. Szurkowski nie wystąpi w Tour de Pologne.”

Trenerzy mają oczywiście prawo wybrać do kadry takich kolarzy, którzy według ich zdania gwarantują w danej sytuacji maksymalne sukcesy. Mogą przekreślić szanse i ambicje niejednego. I czynią to w imię sukcesów całej dyscypliny i tak dalej. Wszystko w porządku. Ale tylko do chwili, kiedy postępowanie trenerów rzeczywiście przynosi pozytywne rezultaty, kiedy obietnice i zapewnienia znajdują potwierdzenie w faktach, w wynikach osiągniętych przez zawodników. W kolarstwie od pewnego czasu tak nie jest. Dr Zbigniew Rusin i Andrzej Trochanowski wielokrotnie składali już bardzo optymistyczne oświadczenia i wielokrotnie oświadczenia te nie znajdowały potwierdzenia w faktach. Wystarczy tylko przypomnieć sobie zapewnienia naszych trenerów kolarskich przed i w pierwszych dniach ostatnich Wyścigów Pokoju i ostatnie w tych wyścigach wyniki polskiej ekipy. Z tego to powodu i teraz nie ma całej pewnością, że trenerzy postąpili właściwie. Już choćby tytuł dla tego, że w zespole znaleźli się zawodnicy dużo słabiej przygotowani niż Ryszard Szurkowski.

A poza tym wszystkim nie można człowieka nagle wyrzucić precz, nie dając mu przedtem pełnej możliwości dokonania konfrontacji, czy rzeczywiście jest gorszy od tych, których wybrano do olimpijskiej kadry.

EWA NURCZYŃSKA

BOGDA MADEJ

FILM

Oglądając efekt poczynań reżyserskich sędzić należy, że realizując „Sowizdrzała świętokrzyskiego”, nie przewidział Henryk Kluba zasadzek, które na jego film czyhały.

Pierwsza ma swe kulturowe podłoże. Znana w europejskim średniowieczu irenesansie, jako plebejski i nieoficjalny nurt ówczesnego piśmiennictwa, tzw. literatura sowizdrzańska, w Polsce rozwijała się głównie w Małopolsce pod koniec XVI i pierwszej połowie XVII wieku. Pisana przez bakałarzy i klechów, a adresowana do ludowej publiczności odznaczała się satyrycznym charakterem, dosadnym i rubasznym językiem, często operowała absurdem i parodią oficjalnej literatury, przesiąkała licznymi antyfeudalnymi akcentami.

Takie gatunki tej literatury, jak np. komedia rybałtowska, albertusy, oraz opowieści prozą są znakomitym kąskiem dla smakoszy sztuki literackiej. Rządziej natomiast sięga do tej ciekawej tradycji teatr. Summa summarum, jest dziś literatura sowizdrzańska literaturą elitarną, której konwencje, nie przez wszystkich znane, giną w mroku przeszłości kultury. Dzieje się tak również dlatego, że typ tej bohatera nie znalazł w polskiej sztuce zmianiejszych śladów kontynuacji, a duch libertyński nigdy silniej jej nie przenikał.

Tak więc film Henryka Kluby wpadł w pewną pustkę odbiorczą, budził uczucie konsternacji u wielu przypadkowych w sali kinowej, a nieświadomych reguł gry widzów. Ta kulturowa sytuacja nie grozi natomiast, jak sądzi, wydanej w 1972 roku powieści Józefa Ozgi-Michalskiego, w oparciu o którą powstał film „Sowizdrzała świętokrzyski”. Po prostu, sięgając po nią tylko ci, dla których jest

przeznaczona, którzy mieli w ręku choćby „Antologię literatury sowizdrzańskiej XVI i XVII wieku”, wydaną u nas w 1966 roku, lub ci, którzy czytali na przykład „Dzieje kultury polskiej” Aleksandra Brücknera. Los każdego filmu jest jednak inny i winien być sytuacji reżyser „Sowizdrzała” przewidzieć.

SOWIZDRZAŁ ŚWIĘTOKRZYSKI

Wierzył on zapewne, że uroki sowizdrzańskiej literatury pokonają próg pewnej kulturowej nieświadomości szerokiego odbiorcy. Tę wiarę można by podzielić, gdyby... ba, gdyby. I tu dochodzi my już do samego filmu.

Jest w naszej pamięci Henryk Kluba reżyserem dwóch znakomych filmów, w których mamy do czynienia z plebejskimi bohaterami. Mowa, oczywiście, o filmach „Chudy i inni” oraz „Siołce wschodni raz na dzień”. W obu tych filmach, charakterystyczna dla całej twórczości Henryka Kluby skłonność do stylizacji znalazła swą piękną balladową formę. I choć miała ona chwilami cechy intelektualnej spekulacji, autentyczna jej uroda przyćmiewała ciężką momentami ręką reżysera.

W „Sowizdrzała świętokrzyskim” mamy, niestety, do czynienia z sytuacją odwrotną. Bronią się w nim pewna uroda jedynie nieliczne fragmenty. Brak jakiegokolwiek jednolitej stylizacyjnej wprost szokujący. Oglądając film, w którym każda sekwencja poczęta jest z innego ducha, z innej tradycji i konwencji. Całość nie jest w stanie spojrzeć bohatera, spiritus movens wszystkich sytuacji i zdarzeń. Pojawiające się nibyfilozoficzne black-outy brzmią pusto. Sztuczny, kurtynowy dialog irtuje. Smuci i budzi uczucie zażenowania niemal wszystko to, co miało iskrzyć się humorem sytuacji, słowa, typów ludzkich i środowiskowych (obronną ręką wychodzi jeno Tadeusz Bartosik w roli biskupa Pańkonila).

Przedziwne to uczucie, gdy ogląda się wysiłki reżysera i aktorów, zmierzające do rozbawienia gawiedzi, a w sobie samym człek nie może wykrzesać ni jednego serdecznego uśmiechu. Zajmuje się wówczas różnymi rozmyślaniami, wychodzącymi nieco poza oglądany film. Jedną z takich myśli była więc refleksja o tym, że sam siebie człowiek zna najmniej. Dowodem fakt, iż Henryk Kluba podjął się realizacji tego właśnie filmu. Typ plebejskiego bohatera, który tak udał się Klubie w sportretowaniu kilku postaci „Chudego i innych” oraz w kreacji Haratyka nie mógł być bowiem jedynym motywem, z powodu którego sięgnął on po sowizdrzała. Każdy, kto ceni wspomniane tu filmy Henryka Kluby, czuje zapewne, że nie jest on reżyserem, który podoba lekkość humoru, fantazji i tempu sowizdrzańskiej opowieści. Dowodem to, co w twórczości Kluby najcenniejsze, a co dalekie temu, czemu miał sprostać w „Sowizdrzała świętokrzyskim”.



Z TELEWIZJI

Zamiast

W środę, 25 czerwca 1980 roku, Telewizja Polska w programie „Zamiast” o godzinie 21.40 zamiast uprzednio zaplanowanego programu Zenona Laskowika „Z tyłu sklepu” nadawała „Piękne głosy”. Śpiewała Zdzisława Donat.

W czwartek

natomiasz w „Cameracie” o godzinie 19.15 w programie TVP kilka osób opowiadało o telewizji, o widziale w Opolu. Opowiadał: Bożena Walter, Lech Terpilowski i Jan Kaczmarek. W naszej telewizji coraz częściej opowiada się zamiast pokazywać. N.N.

Duża awaria pozbawiła na południu Łodzi 250 budynków dopływu ciepłej wody. Wszystkich więc interesuje, kiedy ta ciepła woda dotrze do mieszkań. Jak długo usuwac się będzie awaria. Z takimi pytaniami zwrócili się do Zakładu Sieci Ciepłej reportery „Expressu Ilustrowanego” i „Głosu Robotniczego”. Zapytali, otrzymali odpowiedzi i poinformowali o tym niecierpliwie oczekujących wściekłych czytelników.

Kto wie lepiej? „Express Ilustrowany” informuje, że „najdalej w czwartek, 26 bm, prace te zostaną zakończone i ciepła woda ponownie rurami do mieszkań”. „Głos Robotniczy”: „Według zapewnienia ciepłowników, najpóźniej w sobotę pończowych 250 budynków będzie już miało ciepłą wodę”.

W następnym numerze „1/3” poinformujemy Czytelników, kiedy ciepła woda naprawdę dotarła do mieszkań i kto wiedział lepiej. A swą drogą u kogo wysłannicy obu gazet zasięgał informacji, że mieli różne odpowiedzi? ZYG.

Z RADIA

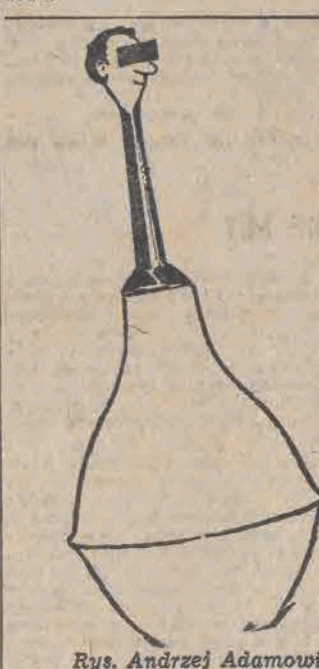
Duża przyszłość

Jest przed Józefina Pelegrini, która „Lato z radłem” zaprosiło tego roku do współpracy. Słuchacz pyta — jak na razie — o horoskopy, ale mogą zacząć zadawać pytania bardziej kłopotliwe: jaka na przykład będzie pogoda? N.N.

Ze świata

W PARYŻU

odbył się zjazd „cór Koryntu”. Francuskie prostytutki wystąpiły do władz z żądaniem, aby traktowano je jak wszystkich innych podatników, będąc płacić podatki regularnie, ale domagała się położenia kresu szykanom. Wiadomości o stanowisku władz brak.



Rys. Andrzej Adamowicz

NASZA POCZTA

Jeszcze raz Zanussi

Jako wierny i niezwykle uważny czytelnik „Odgłosów” muszę poinformować K. I. Bica, że Krzysztof Zanussi ma tyle wspólnego z reklamą na włoskim stadionie co rol z golonką. Rozumiem, że u nas na prowincji można nie znać światowej sławy firmy Zanussi produkującej między innymi pralki, lodówki itp., ale trzeba mieć trochę oleju w głowie i za stanowić się, czy K. Zanussi ma szansę wywrzyc ze stadionów wodkę wyborową. Tak więc nie tylko oikarze muszą się wstydić.

PS. Oczywiście K.I.Bic powie, że to taki żart. Albo żart wstępny albo wiadomości.

Ze sportu

DEMENTI

Prezes RTS Widzew — Ludwik Sobolewski zdementował doniesienia o tym, jakoby Zbigniew Boniek miał przenieść się do włoskiej drużyny „Juventus” w Turynie.

„Moim zdaniem — powiedział prezes Widzewa reporterowi „Kurieru Polskiego” — i o tym jestem głęboko przekonany Zbigniew Boniek będzie reprezentował barwy Widzewa co najmniej do najbliższych mistrzostw świata”.

NA TOURNEE

do Ameryki Południowej nie pojechał Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda, obsł. RTS Widzew

„JEDNA TRZECIA”: Zart oczywiście nie najlepiej. Pewnie jeszcze kilka listów dostaniemy.

„Cegła i fąfel”

Przysłał nam list Robert Stiller, zawiadamiając, że funduje na własny koszt nagrodę „Cegły i fąfela” w wysokości złotych pięciuset” za najgorszą książkę roku. Nagroda może być podzielona. I tak stało się z tegoroczną nagrodą. Otrzymał ją: „Krytyka Dudziak za tłumaczenie książki Petera Arnotta „Błazniactwo i ich świat” — PWN, Elżbieta Jasawska za redakcję tejże książki, Krystyna Kamińska za opracowanie „Poczęj” Stefana Georgego”.

„JEDNA TRZECIA”: Coś się nasz fundator zbyt nio nie wysilił, pięćset złotych aż dla trzech laureatów!

Łódź. Powodem są dawne kontuzje. Pojechał natomiast Antoni Szymanowski, który ostatnio w reprezentacji raczej nie występował.

DOCZEKALI SIĘ

Doczekali się zezwolenia na wyjazd zastępcy piłkarze, którym w kraju sio już nie najlepiej. Do „Lokeren” pojedzie grać Grzegorz Łato, do „Vannina” w Grecji — Jerzy Gorgoń, do „Auxerre” we Francji Andrzej Szarmach i Henryk Wiecek.

Kazimierz Deyna też awansował. Występuje ostatnio w filmie który powstaje w Budapeszcie.

Życzymy pomyślności.

K.I.Bic

JUŻ JEST

Platkowy „Głos Robotniczy” (27.VI.1980) donosił, że w Studiu „Mosfilm” powstaje film pt. „Garaż”, który to film reżyseruje Eldar Risanow. Jest to wiadomość spóźniona. Kiedy w marcu 1980 roku byłem w Moskwie mogłem już ten film obejrzeć, a więc film już jest od kilku miesięcy, a nie powstaje. Mogę jeszcze dodać, że jest to komedia która w Związku Radzieckim cieszy się ogromnym powodzeniem, a niektórzy uważają nawet, że jest to „bardzo śmiała komedia”. Może już niedługo zobaczymy ją i na naszych ekranach.

ZYGMUNT K. (Adres znany redakcji)